

Dawid Juraszek

## **Hetman**

*Pierwodruk w miesięczniku „Science Fiction, Fantasy i Horror”*

© Dawid Juraszek

[www.fantastykapolska.pl](http://www.fantastykapolska.pl)

Pośród szeroko nad różaną tonią Vistuli rozciągniętych pagórków i łąk, pośród wymanganowanych astropszenicą i potytanowanych kosmożytem pól, gdzie fluorescencyjny świerzop, gryka jak glin biała, gdzie stroboskopowym rumieńcem dzięcielina pała, tam wszystko przepasane jakby wstęgą, miedzą opalizującą, na której z rzadka ozdobne *animalia* siedzą. Otóż wśród takich właśnie pól przed laty, nad brzegiem laserowo wyżłobionego jeziora, na wzgórzu makroinżynieryjnie usypanym, w egzopalmowym gaju, stał pałac magnacki, z miejscowego surowca, lecz nanotechnologicznie przekreowany; czerniły się z daleka pokryte fotoelektryczną farbą ściany. Pałac rozmiarów gargantuicznych, lecz w stylu skromnie neoneorenesansowym, hangar miał wielki, a przy nim trzy stogi zimnofuzyjne. Widać z liczby plazmowych posągów mitologicznych oraz kaczek – prawdziwych, sprowadzonych wielkim kosztem z Ziemi, nie zrobotyzowanych – pływających po jeziorze, widać po przepysznie zaprojektowanych ogrodach w stylu starolitevskim, że w tym domu posesjonat mieszka zasobny w gotowiznę i nie bojący się tego okazywać. Brama na oścież otwarta przybyszom ogłasza, że gościnna i wszystkich w gościnę zaprasza. A gdyby komu tego było mało, zapobiegliwy gospodarz zadbał o usunięcie wszelkich wątpliwości przy pomocy szpaleru hajduków i pajuków w kapiących od ozdób liberiach, uprzejmymi gestami zapraszających licznych gości na comiesięczny obiad środowy.

Właśnie aerobryką nadleciała młoda panna i znizywszy się ponad dziedziniec zajęła ostatnie wolne miejsce parkingowe. Wysiadła z powozu, którym z miejsca zajęli się magnaccy słudzy, i dołączyła do sznura dostojnych gości, w powodzi uśmiechów i powitań przechodzących przez bramę. Gdy skan neutrinowy pikając profesjonalnie sprawdzał jej tożsamość na podstawie unikalnego wzoru pofałdowań mózgu, przymknęła oczy. Tak na wszelki zabobonny wypadek.

– Witamy najuniżeniej Zofiję Docieklivską z Kurjera Kasjopejskiego – powiedział hajduk nienagannie uprzejmym tonem, ale pokłonił się jakby nie tak nisko, co pozostałym gościom.

Niezrażona Zofija stanęła na szemrzącej cicho, wysypanej hodowlanym żwirkiem dróżce. Wkrótce sunęła już wraz z resztą gości ku imponującej bryle pałacu, zastanawiając się, co czeka ją na miejscu. Nie trwało to długo; zwodniczemu eskalatorowi nie zbywało na chyżość.

– Witamy najserdeczniej w naszych skromnych progach – zgiął się w ukłonie kolejny sługa. A potem Zofija weszła do jasno oświetlonej sieni i ujrzała jaśnie oświetlonego magnatowicza.

Tadeusz Koniecgalaktycki siedział rozparty w fotelu w otoczeniu dostojników pałacowych. Skinięciem dłoni – które podpatrzył był najwidoczniej u swego zmarłego w tajemniczych okolicznościach ojca – witał wchodzących, bez względu na to, czy jego siedzibę zaszczycił senator przybyły prosto z Varsovii z ważnymi wieściami, czy zbecześcił podstarość, który wkręcił się tu podczepiając się pod znaczniejszą personę. Albo też – co tu kryć – podrzędna dziennikarka pisząca dla nienajwiększego próżniowca o wydarzeniach w świecie arystokracji lokalnego układu gwiazdowego. Mniejszemu posesjonatowi takie zrównywanie personata z hreczkosiejem nie wyszłoby na dobre, ale synowi Kanclerza Wielkiego Koronnego Świętopelka Koniecgalaktyckiego można było więcej wybaczyć, a nawet poczytać sobie taką nonszalancką poufałość za honor, choć pewnie każdy wolałby usłyszeć z ust magnatowicza własne nazwisko i parę słów świadczących, że wyróżnia ich spośród szlacheckiej rzeszy – nie wspominając o zwykłym powstaniu przy witaniu. Niestety, gościom pozostawało tylko podkreślić zawadiacko węża i udając, że nic się nie stało, stanąć za fotelem magnatowicza, by gęstą miną witać kolejnych wchodzących.

Obszerna, obita syntzłotogłowiec się wypełniona już była oczekującymi na zakończenie długotrwałego rytuału gośćmi. Wchodząca na ostatku Zofija zapłonila się, widząc na sobie ciężkie spojrzenia. Powinni się cieszyć, że już ostatnia, pomyślała i podeszła do magnatowicza. Ten po raz n-ty skinął dłonią i ku uldze wszystkich zgromadzonych wstał.

– Zapraszam! – rzekł krótko.

Nawet nie stara się udawać, że kontynuowanie tradycyjnej gościnności Konicgalaktyckich to dlań przyjemność, pomyślała Zofija.

Obszerne sale kapały wprost od przepychu, stoły uginały się pod ciężarem potraw, a nad tym wszystkim z łopotem przelatywał tam i sam sędziwy genomodyfikowany raróg, siwy jak gołąbek, ulubieniec wielu pokoleń Konicgalaktyckich. Wyczekany i wygłodzony gościom ciekła już ślinka, ale czekali, aż sam magnatowicz stanie za stołem, sięgnie po flaszę i nalawszy kusztyczek wódki, wypije. Tak się i stało. Następnie magnatowicz nalał następny i podał razem z flaszą sąsiadowi. Kolejka obeszła cały stół i nie raz i nie dwa słudzy musieli dopełniać flaszy. Wreszcie ostatni gość wypiwszy swoje oddał kusztyczek podczaszemu, który spełnił go godnie i oteleportował flaszę. Wtenczas wszyscy siedli i chołodziec litewski milcząc żwawo jedli. Potem szły raki, jendyki, półgęski, kumpia, skrzydliki ozoru, słowem, wszelakie mięsiwa, którym towarzyszyły kielichy węgrzyna i kasjopejanina. Najłakomiej jadł magnatowicz – młodzieniec dość jeszcze szczupły zamiarował najwidoczniej jeśli nie wzrostem, to choć wagą dorównać postawnemu rodzicielowi.

W tej jednak całej hałaśliwej konsumpcji brakło najważniejszego, tego, co jest kwintesencją biesiady – gadania. Czy to nieśmiałość jednych gości, czy uraza drugich, czy wreszcie zatroskanie sprawami kraju wszystkich, dość, że wieczerza odbywała się w nieznośnym dla wielu milczeniu.

Młaskliwej ciszy znieść nie mógł nade wszystko stary Wojski, znany swego czasu nawet i na Ziemi ze swych niegdysiejszych czynów sprzed ustatkowania się, a teraz zażywający zasłużonego wywczasu na Dalekopolsce.

– Śmiem upraszać młodzieży, ażeby po staremu bawić u wieczerzy. Nie milczeć i żuć... – zaczął; wszystkim się zdawało, że gadać chce jeszcze, ale się nie dało.

– Otóż to! – rozległy się zniecka liczne głosy. – Niech kto co gada! Chętnie posłuchamy!

Na wąsatej twarzy Podkomorzego odmalowały się sprzeczne emocje: złość, że mu przerwano, ale i radość, że powiodło się werbalne rozruszanie zgromadzonych. Wprawdzie na razie w powietrzu krążyły tylko apele o to, by zaczęły krążyć i gawędy, ale lepsze takie apele, niżli martwa cisza.

Wobec braku własnej inicjatywy, wszystkie oczy tymczasem jęły zwracać się ku postaci siedzącej w rogu stołu, pośród samych opasłych wąsaczy, których obecność na przyjęciu u magnatowicza sprowadzała się głównie do pałaszowania podawanych potraw z niezważającym na nic apetytem. Ten ostatni nie tyle udzielał się innym, co był w stanie obrzydzić pozostałym biesiadnikom wszelkie jedzenie na czas dłuższy, ale dla pałaszowników nie był to żaden impedyment.

Posiadaczem największego apetytu był posunięty już w latach neoszlachcic, gruby jak piec fuzyjny, z beczelną, czerwoną twarzą warchoła, wąsami zwieszającymi się w długich pasmach aż pod wydatną zuchwę, blizną na czole zapewne po wybuchu akceleratora hiperprzestrzennego i jednym okiem lśniącym rogówką z prawdziwego ziemskiego dyjamentu. Za taki optyczny gadżet można by wystawić regiment piechoty kosmicznej, ale posiadacz ani na wielkiego bogacza, ani na czynnego wojskowego nie wyglądał. Mocno podgolona i takóże posiwiata czupryna czekała tylko, by po kilku pucharach wina jęło się z niej dymić, a w przekrwionym własnym oku igrał jakiś ni to złośliwy, ni to wesoły ogień.

Zofija znała go. Nawet sama napisała jedną czy dwie – w ferworze rozpoczynającej się

wieczerzy nie pamiętała dokładnie – notki o jego hulaszczym życiu, kiedy zaszczycił swoją personą jakieś spotkanie towarzyskie godne odnotowania w takiejże kronice. Był to niesławny Onufry Brzękalski herbu Sepulka, wielki opój i hulaka, ale i mąż zasłużony swego czasu w wielu bitwach na polach dawno zapomnianych międzygwiazdnych bitew. Przynajmniej tak twierdził, a nikt jakoś nie chciał ani jego, ani siebie wyprowadzać z błędu, jako że neoszlachcic zawsze miał coś ciekawego do powiedzenia – choćby o niezliczonych okazjach, kiedy to srodze gromił ufoków kupy swawolne.

I tym razem nie zawiódł.

– Słuszność ma imię Wojski, druh mój i człek wielkiej mądrości – zaczął, czując na sobie oczy wszystkich, a i czując się z tym dobrze. – Dawne to dzieje, ale zdarzyło mi się raz wieczerać w pewnym zamczysku na Kresach *universum*, pośród milczenia bardziej przystającego sarkofagowi hibernacyjnemu. Rzec skończyła się okrutną bitwą, z której tylko ja wyszedłem cało. I jeśli nie opowiadam często tej historii ku przestrodze, to jeno dlatego, że serce mię boli na wspomnienie poległych wtedy towarzyszków. Jeśli wszak szanowny gospodarz pozwoli, a i smarowidła gardlanego ze swych piwnic użyje, tedy co i opowiem ku uciesze gości.

Tadeusz Koniecgalaktycki skinął podczaszemu; ten wnet przyteleportował flaszę najlepszego miodu, prawdziwego, uwarzonego z wydzieliny miejscowych insektów skrzyżowanych w pocziwą ziemską pszczołą. Szlachcic posmakował, pokiwał głową i potoczył po sali zagadkowym wzrokiem.

– Nie dalej jak onegdaj – zaczął tonem, od którego wszystkim po grzbiecie przebiegł dreszcz ekscytacji rozpoczynając się opowieścią – zaszczyciłem swym udziałem polowanie w pasie asteroidów przy pobliskim czerwonym karle, na krańcach posiadłości samego księcia wojewody. Otóż kryją się tam jak wiecie ostatnie kosmoloty Wielkiej Krabiej Armady. Po bitwie pod Wielkim Wozem niedobitki ufoków nie oparły się aż w tutejszej prowincyi galaktycznej i jak zapadły pośród kosmicznego śmiecia, tak do dziś co czas jakiś opuszczają kryjówki. Nie mając po co wracać do Mgławicy Kraba, którą ku przestrodze wszystkim kosmicznym rozbójnikom rozproszyliśmy na cztery wiatry kosmiczne, jęły naprzykrzać się astrokarawanom. Widać ich ogniwa energetyczne wielką moc mają, bo wciąż dają się nam we znaki i o ile się ich nie wygniecie, to wciąż turbować nas będą. Przybyłem tedy na polowanie z księciem wojewodą wraz z wieloma znakomitymi łowcami, których sama sława winna rzucić ufoków na kolana, czy też co tam one mają wpół odnoży. A był pośród nas pewien Asesor, człek niepozorny, lecz ponoć śmiały i równego sobie w polowaniu na polach asteroidowych niemający, a i ostry język z reputacji, czym mię ujął, bo i ja nie od tego, żeby dykteryjką czy krotofilą kogo poczęstować. Zrazu swą kompaniją zaszczycić go chciałem, ale akurat jakem podchodził do ścigaczy uwiązanych przy pasie startowym, usłyszałem, że sobie ze mię dworuje. I jak bezczelnie! Imaginujcie sobie waćpaństwo, że przytyki do mego wieku czynił, śmiejąc wąpić, czy jeszcze na tyle *activus*, żeby w polowaniu brać udział, a nie jeno w *observatorium* z lunetą siedzieć! A przecie ja dwanaście kozłów mógłbym jeszcze naokół niego machnąć, przy tem z niegwintowanego fazera do robotatw strzelając i pokotem je kładąc! Tak tedy jakem to usłyszał, pomyślałem sobie, to ty tak, bratku? Już ja ci odpłacę! Alem nic po sobie poznać nie dał. Jak do polowania przyszło, tak do ścigacza wsiadłem, naumyślnie głośno na pedogrę i ischias utyskując. Gdym na jego twarzy złośliwy uśmiech dojrzał, tom już wiedział, że poszedł w sidła. – Pan Onufry ku niecierpliwym pomrukowi słuchaczy spełnił kielich; podczaszcy szybko dopełnił. – Tak więc ruszyliśmy w pole grawitacyjne i dalej, w pas asteroidów. Wystarczyło jeno czekać, aż ufoki się pokażą. Ja niby to z niedołęstwa, niby to ze strachu z tyłu zostawałem, patrząc jeno, jak by tu Asesorowi nosa utrzcć. Tak i się doczekaliśmy. Jak wtem nie dadzą z garłacza, jak nie siekną morofalami! Ledwośmy się wymknęli. I zaczęła się gonitwa. Tu się pokazało, że na sławę Asesor samym językiem nie zarobił. Jak się wysforował do przodu, to i nie dał się wyprzedzić, co i rusz

strącając przy tem jakiego ufoka. Dałem ścigaczowi ostrogę i ruszyłem w pogoń. Wkrótce pędziliśmy tak we dwóch na przedzie, strącając ufoka za ufokiem, a reszta polowania jeno sekundowała nam daleko z tyłu. Liczniki podawały na bieżąco ilość trafień. Szliśmy czub w czub, aż miło było popatrzeć. Wreszcie został już tylko jeden ufok, a obaj mieliśmy po tuzinie ustrzelonych. Tu dopiero wzięliśmy się za łby, aż dym szedł z asteroid. A wtem ufok jakby zapadł się pod ziemię! Skanuję przestrzeń ja, skanuje Asesor, obajśmy się poznali, że ten musiał mieć lepszy statek i salwując się ucieczką poszedł w nadświatłą. Tośmy popatrzyli na siebie przez bulaje. Nie ma zmiłuj! Ten jeden ufok oznaczał wiktoryję. Ja ostatecznie pognębiłbym Asesora język nadto ostry, a on zemściłby się na mię za żart, jaki sobie zeń zrobiłem. W jednym momencie walnęliśmy w czerwone przyciski! Jak się niebiosy nie rozświetlą! Znaleźliśmy się w innym sektorze kosmosu, ale i tu po ufoku śladu nie ma. W jednej chwili pojęliśmy, że tym razem to on sobie z nas zażartował i zamaskował się przemyślnie pośród asteroidów, niby to w nadświatłą czmychając. W jednej chwili dla honoru ratowania wróciliśmy się przez kosmos i zapadliśmy między asteroidami. Czekamy godzinę światłą, czekamy dwie, aż wreszcie coś drgnęło między asteroidami. Wycza! Puściliśmy się razem, ja i Asesor, jakoby dwa przyciski jednym kciukiem wcisnięte u jednej fotonorurki. Wycza! Nasze ścigacze jak nie pomkną, a ufok jak kometa smyk w nadświatłą, tą razą naprawdę! My tu, ufok tu, my znów tu, aż od czerwonego karła odsadziliśmy się kawał. Asesor smyk naprzód, rączy myśliwiec, ale zagorzalec. Wysunął się przede mię o tyle, o palec! Wiedziałem, że spudłuje! Ufok gracz nie lada, gna prosto w czarną dziurę, za nim Asesor, już celuje, gracz ufok! Skoro poczuł, że Asesor już-już będzie strzelał, fajt w lewo, koziołek, beczka, ewolucyjna, akrobacyjna, ekwilibrystyka, fajt w prawo, jak wytnie dwa susy, Asesor za nim, jeden, drugi strzał, lecz pudło, bo zagięcie grawitacyjne, a ja czekam z palcem na kurku lasera! Zapędził się Asesor, ale i zagapił się ufok, zapędził, jakby wręcz kutasem mignął, tak się swego pewny poczuł, lecz mój laser w tejże chwili jak nie świśnie! Błysnęło, buchnęło i po ufoku jeno pył międzygwiazdny został, który ścigacz Asesora tak gęstą warstwą pokrył, że ów musiał w miejscu zawisnąć i czekać na pomoc próżniową. A ja syt pomsty i chwały...

Zofija stłumiła ziewnięcie. Opowieści Brzękalskiego o jego niegdysiejszych przewagach mogły frapować uczestników przyjęcia, ale nie czytelników kroniki towarzyskiej Kurjera Kasjopejskiego. Nie takiego materiału oczekiwała redaktor naczelna, baronowa Pudelkowska, gdy delegowała Zofiję na przyjęcie w pałacu Koniecgalaktyckich. Młoda dziennikarka musiała coś wynaleźć, a w ostateczności wymyślić. Inaczej...

Brzękalski skończył i umilkł, zatapiając usta, nos i twarz całą w pucharze miodu. Znać było po poziomie kurzenia się z jego podgolonego łba, że żadnej składnej opowieści dziś już odeń oczekiwać nie można. Słuchacze jeszcze czas jakiś wymieniali uwagi i komentarze o tym, co właśnie wysłuchali, ale gdy nikt po starym szlachcicu gawędziarskiej schedy przejąc nie chciał, gwar – czy raczej pogwarek – przycichł, a wreszcie umilkł na dobre, oblicza zaś jeszcze przed chwilą zarumienione żarem opowieści powlekły się chłodem zmartwienia.

Tym razem to Podkomorzy stary, człek w kwiecie wieku, bywały i zasłużony, postanowił widać, że dość już milczenia o tym, o czym gadać trzeba.

– Wiem, wiem, o co tu idzie – rzekł, powstając. Wszyscy wpatrzyli się weń pytająco. – Ta czarnych trosk chmura pono z Robakowego wzniosła się Kaptura...

Jakiś szum ponury przemknął po sali. Oto ktoś przełamał znowę milczenia, biorąc się nie tyle ze złych zamiarów, ile z jeszcze gorszego strachu.

– Boicie się o los planety! Prawdę powiem, że i ja poczułem na starym grzbiecie dreszcz, gdy doszły do mię wieści o losie górników z górskich żup. Ale niech was strach nie pali. Znałem planety gorsze od Dalekopolski, a jakośmy przeżywali. W każdym zakątku wszechświata, któryśmy kolonizowali, czyhało na nas jakieś niebezpieczeństwo. Nie inaczej jest i tu. I jak zwyczajnie, tak i tu damy sobie ze wszystkim radę. A teraz wypijmy za zdrowie

znakomitego gospodarza!

– Vivat! Vivat! – rozległo się do wtóru brzękania kielichów, ale próżno było doszukiwać się w tych okrzykach nuty beztroskiej radości. Przeciwnie; krzepiące słowa Podkomorzego rozwiązały trzymane dotąd w ryzach języki.

– Ale jak się tu dobrodzieju nie martwić – zaczął jakiś stary szlachcic – skoro mówi się, że w sztolniach natrafiono na ślady wcześniejszego osadnictwa...

– Mówiło to się wczoraj! – przerwał jego sąsiad, grubas dotąd na pozór beztrosko pałaszujący półgęsek. – Dziś już wyszło na jaw, że przed nami tę planetę zasiedlała wysoka cywilizacja!

– Gdzież tam dopiero dziś! – zachnął się siedzący naprzeciwko wąsacz, który ze swego przetykanego planetynowymi niciami pasa słuckiego był tak dumny, że podciągnął był go prawie pod same pachy, na pół przykrywając szkaplerz z Matką Boską. – Toż od lat całych znajdowano ślady poprzedników. A to mury jakieś, a to jakby drogi, a to wreszcie resztki zapór na rzekach...

– Same kopalnie przecie! – włączył się kolejny szlachcic. – Nigdy byśmy na te złoża planetyny nie natrafili, gdyby nie gotowe dukty dojazdowe i lądowiska przeładunkowe!

– Byłem przy tem! – ozwał się nagle Brzękalski, unosząc obrzmiałą twarz znad dzbana; końce wąsisków zlepione miał słodką cieczą. – Jakem rekognoscencyję w tychże górach odbywał, patrz: nic, jeno ufocka robota! Bo oto wyimaginujcie sobie waćpaństwo, skłon góry co ją potem Robakowym Kapturem nazwano do równa wygryziony, a w tym dziura okrągła jako księżyc w pełni. Com się w czub nadrapał! Ale cóż było robić, z samą gołą wieścią do oddziału wracać nie chciałem, więcem się przyjrzał temu dziwu dokładnie i długo, aż naszła mię iluminacja. Toż to było idealne wprost lądowisko dla działotów, a nawet i co mniejszym lotorumakiem husarskim wlecieć tam by i można! Tak tedy dałem znać ekipie i nie minął miesiąc, a żupy furczały aż miło...

– Takich złóż w całej galaktyce nie masz – westchnął ktoś.

– Żyła planetyny! – dodał drugi.

– Ponoć starczy, żeby wyrobić nadprzestrzenioodporne pancerze dla wszystkich okrętów Rzeczypospolitej! – doprecyzował trzeci.

– I to na dwa millenia latania po całym znanym wszechświecie jak obszył! – nie dał sobie odjąć głosu drugi.

– Że o biżuterii dla naszych dam nie wspomnę! – szybko zripostował trzeci.

– Ufoki gdy to odkryły, musiały wielce się ukontentować – przebił go drugi.

– Nic dziwnego, że pierwej od nas jęły wojażować *in universo*! – do gry włączył się z powrotem ktoś pierwszy.

– Właśnie – mruknął ktoś zupełnie inny znienacka głosem, który w jednej chwili uciszył rozkręcającą się rozmowę. – I myślą waćpaństwo, że odkrywca zostawiłby takie bogactwo bez protekcji?

Zofija przechyliła się nad stołem, by lepiej widzieć mówcę. Był to starosta Kasandrycki, człek w kwiecie wieku i u szczytu sił, ale nie dążący do zaszczytów, na które bez ochyby zasługiwał. Gdyby chciał, zaszedłby naprawdę wysoko, ale wolał obejmować posady starościąńskie na nowokolonizowanych światach, zaprowadzać porządek, a potem oddawać urządzony kraj następcy i szukać kolejnego wyzwania. Postać dość zajmująca, bo przystojna, lecz stanu wolnego. Teraz był właśnie w drodze do kolejnej planety, daleko na Kresach, a po drodze zatrzymał się u magnatowicza, któremu był dalekim krewnym, chociaż po kądzieli.

– Cóż wasze masz na myśli? – zapytał marszcząc brwi Podkomorzy.

– Ano to – odpowiedział spokojnie pan Kasandrycki – że nie powinno nas dziwować, iż tajemnicza katastrofa pochłonęła całą jedną kopalnię i życie kopy górników. Takich katastrof będzie więcej, o ile nie porzucimy Dalekopolski...

– Jakże to? – rozległy się głosy.

– Co wasze mówisz!

– Czy podobna?

– ...albo – ciągnął spokojnie starosta – nie zdusimy w zarodku odradzającej się potencyjności dawnych jej mieszkańców.

Zapadła martwa cisza, przy której poprzednia zdawała się całkiem ożywiona. Wszyscy sponurzeni do szczętu. Oto myśl, która krążyła im dotąd gdzieś po zakamarkach umysłu, zepchnięta do mentalnego lamusa, padła tu głośno i wyraźnie.

Zofija uniosła brew. Tuż obok starosty siedziała młoda ślicznotka, której dziennikarka nigdy wcześniej nie widziała. Czyżby była to jego metresa? Z uczuciem ulgi i zgoła nie przystającym do powszechnego zaszepienia uśmiechem odchyliła się w krzesło, myśląc, że jednak będzie miała o czym napisać notkę. Gdyby tak jeszcze ktoś siedział koło magnatowicza... Przecie chodziły słuchy, że swatano mu księżniczki angielskie i francuskie. Gdzież one teraz?

Rzuciła okiem. Młodzieniec sam na szczycie stołu zajadał w najlepsze chrapy łosia, nie przejawiając zainteresowania ani sprawami planety, ani płcią nadobną.

– Zali wisi nad nami groźba? – dopytywał Podkomorzy.

Starosta westchnął.

– Ciężkie pytanie, a i odpowiedź lekką nie będzie! Nie ma wątpliwości, że poprzednia cywilizacja dobrze zabezpieczyła kopalnie przed cudzą eksploatacją. *Miraculum* to prawdziwy, że tyle czasu użytkowaliśmy kopalnie nieniepokojeni. Teraz jednak rzecz ma się tak, iż nasza coraz dalej posunięta działalność uaktywniła dawno uśpione systemy naszych poprzedników. Teraz trwa rozruch i z tego, co już wiadomo, potęga tych urzędów ochronnych jest olbrzymia. Zagłada jest niechybna. Powiadam waćpaństwu otwarcie: uchodźcie póki czas!

Goście, wszyscy co do jednego okrutnie *consternati*, spojrzeli po sobie. Tutaj, teraz, przy obiedzie, wobec tak wspaniałego gospodarza, starosta namawiał do ucieczki?

Zofija zamrugła. Jakieś dawno zapomniane struny zagrały teraz w jej duszy. Zanim została dziennikarką miejscowego próżniowca, chciała pisać o sprawach poważnych, a nie o tym, jakie giezło miała na sobie jaka szlachcianka i z kim kto wymienia znaczące spojrzenia. A teraz oto starosta Kasandrycki, człek o szerokich znajomościach i głębokiej wiedzy, informował uczestników wąskiego przecie zgromadzenia o czyhającym na wszystkich niebezpieczeństwie! Czy nie o czymś takim chciałaby donosić Zofija Dociekliska, reporterka Kurjera Kasjopejskiego?

Jakby wiedząc, co kłębi się teraz w głowie młodej dziennikarki, głos zabrał siedzący obok magnatowicza Podkomorzy. Zofiji się zdawało, że okamgnienie wcześniej Tadeusz Konicgalaktycki szturchnął starca, ale mogło jej się przywidzieć.

– Wieść to doniosła – chrząknął Podkomorzy – ale nie powinna wyjść poza te mury, dopóki głosu nie zabierze sam książę wojewoda. Jeśli istotnie grozi nam tak poważne niebezpieczeństwo, to trzeba nam spokoju, rozsądku, rozwagi...

– Trzeba nam Hetmana – mruknął ktoś nagle.

– Hej, słusznie prawi! – zawtórowały mnogie głosy.

– Otóż to właśnie!

– Hetmana! Hetmana nam trzeba!

W sali zapanował gwar, jakiego tego dnia jeszcze tu nie było. Na twarzach grały emocje, dłonie gestykulowały z ekscytacją, napitki pryskały ze wstrząsanych bez nijakiej konsyderacji kielichów.

– Hetmana! Hetmana! – wołały wszystkie usta.

– On tu nie przyjdzie! – ponad hałas podniósł się naraz głos Wojskiego. – On tu nie przyjdzie – powtórzył, gdy towarzystwo ucichło – próżno wzywać Hetmana. Od lat nie daje znaku życia, choć niegdyś z taką ochotą niósł pomoc ludziom w potrzebie. Wszyscy

pamiętamy jego nadludzkie wyczyny, gdy pękła zaporą na Vistuli, albo gdy wieżowiec Zamoyskich chylił się ku upadkowi. Ale gdy ostatnimi laty inne katastrofy nękały obywateli Dalekopolski, nie pojawiał się już, nie nadlatywał z niebios w furkocie skrzydeł, nie wyciągał zbrojnej a pomocnej ręki. Może zginął, a może zmienił profesję. Tak więc porzućmy nadzieję. Hetmana nie ma pośród nas!

– Ale co się z nim mogło stać? – pytał ktoś.

– Dlaczego zniknął?

– Taki mocarz!

– Człek to był jako i my – powiedział Podkomorzy – jeno niezwyklej przedsiębiorczości i siły. Działał od wielu lat, może przyszedł naturalny koniec jego działalności. A może po prostu sprzykrzyło mu się? Bo przecie...

– Nie szanowaliśmy go – pociągnął ktoś nosem.

– Nie respektowaliśmy – jęknął ktoś inny.

– Nie okazaliśmy wdzięczności!

– Może dlatego odszedł...

– Próżno gadać – zawołał wybudzony Brzękalski. – Zwłaszcza nad prózną szklenicą!

Odpowiedział mu ryk aprobaty. Wszystkie oczy zwróciły się na magnatowicza. Ten skinął na podczaszego. Wnet do stołu doniesiono wina, miodu i wódki. Ocierając łzy za Hetmanem pito na umór, kojąc strach, w jaki wpędziła nieustraszonych zwykle szlachciców dziwna katastrofa. I pito, aż podczaszcy nerwowo się zrobił, jakby bał się, że wkrótce w piwnicach trunków zabraknie. Ale wtedy czuwający nad satysfakcją gości nadczaszcy uznał, że wszyscy mają już dość. Goście nie zdążyli jeszcze paść twarzami na stół, gdy w ruch poszła ostatnia kolejka kielichów – wspaniałych roztruchanów z prawdziwego wenusjańskiego kryształu, których cienkie niczym płatki kwiecia ścianki oplatały włosowej grubości planetynowe filigrany, rzeźbione przemyślnie w hologramowe wzorki. Nachylone pod odpowiednim kątem cudeńka rzucały na stół i ściany cienie przedstawiające bitwy najsłynniejszych interstelarnych kampanij, którym z podziwieniem przyglądali się teraz goście, odwołując ile się da to, co nieuniknione.

– Vivat Hetman! – krzyknął wreszcie ktoś, ale syki i przekleństwa uciszyły go szybko. Nie można już było jednak dłużej zwlekać. Obyczaj wymagał tego, czego wymagał, jeno przedmiot wiwatowania trzeba było dobrać cokolwiek stosowniejszy.

– Vivat nasz gospodarz, Jego Miłość Tadeusz Koniecgalaktycki! – huknęła cała sala jak jeden mąż.

Pośród żywiołowych wiwatów magnatowicz spełnił pierwszy puchar. Przez mgnienie zawahał się, jakby wzbraniając się przed wypełnieniem obyczaju. Ale powaga niezliczonych minionych generacyj szybko przeważała. Uniósł wzrok i puchar, a potem palnął się owym bez ceny cackiem w głowę. Kryształ rozprysnął się po sali, skronie młodziana krwią się oblały. Był to niezwykle energiczny wyczyn jak na człeka, co dotąd ograniczał się jeno do wątych gestów i potężnego jedzenia. W jego ślady poszli pozostali. Sala zatrzęsa się od brzęku rozbijanych kielichów i stukotu czoł padających ciężko na blaty. A potem w sali zaległa cisza, gdy rozpylone przezornie przez służbę neosole trzeźwiące wykonywał swoją podłą robotę. Niebawem pierwsi goście jęli podnosić głowy. Wkrótce znów zaczęły się rozmowy, lecz spokojniejsze już i cichsze, choć nadal wesołe.

Przyjęcie miało się ku końcowi. Tym razem magnatowicz stał przy wyjściu, zamieniając z każdym kilka słów na stojąco. Rychło poczęto szemrać, że prosi wszystkich o dyskrecyję i nie roznoszenie wieści o niebezpieczeństwie, póki książę wojewoda nie ogłosi ewentualnego planu ewakuacji. Kiedy przyszła kolej na Zofiję, stanęła przed nim lekko drżąca.

– Tak znakomity gość wychodzi na ostatku – rzekł zaskakująco głębokim głosem i w równie głębokim ukłonie zamiótł posadzkę wylotami kontusza.

– Ależ... – zaczęła Zofija, ale kiedy podniósł na nią stalowe oczy, umilkła.



Z bliska magnatowicz sprawiał zgoła odmienne wrażenie. Rozlazły łakomy młodzian miał w oczach nadspodziewaną rezolucyję i determinację, choć wyglądała zza niej jakaś nieokreślona desperacja. Czy to efekt uboczny toastów? pomyślała Zofija. Na wygolonych skroniach magnatowicza widać było cienką warstewkę żelowego neochleba z syntpajęczyną; za kwadrans po zadanych roztruchaniem zacięciach miało nie być nawet śladu. A może po prostu nie podzielał gościnnych zapędów ojca?..

– Śmiem prosić – nachylił się – byś zechciała waćpanna nie informować nikogo o sprawach wagi planetarnej, o których była tu mowa. Przynajmniej do czasu, aż władza nie zajmie stanowiska i nie ogłosi, co czynić.

– Wasza Miłość wie, jaka jest moja profesja? – spytała.

– Tak, wiem. Tym usilniej proszę. Jeśli słowa starosty są prawdziwe, potrzeba nam wszystkim rozsądku, nie paniki.

Zofija zawahała się. Jeszcze przed chwilą chciała lecieć do redakcji i przekazać zespołowi czym prędzej wieść, która bez wątpienia mogła zelektryzować całą Dalekopolskę. Teraz jednak poczuła, że może niekoniecznie powinna to robić. Chyba nie nadają się do tej pracy, pomyślała.

– Mam propozycję – mruknął magnatowicz, widząc, że dziennikarka toczy wewnętrzną walkę. – W zamian za milczenie w tej sprawie zdradzę jeden sekret towarzyski. Tylko jeden! – powtórzył, widząc w oczach Zofiji błysk zawodowej chciwości informacyjnej. – Ta młoda kobieta, która przyszła dziś ze starostą Kasandryckim, to...

Kiedy Zofija wsiadała do podstawionej pod bramę aerobryki, serce jej łomotało. Oto miała wieść, z której pozyskania baronowa Pudelkowska będzie zadowolona, a która zarazem nie narazi planety na tragedie wynikłe z powszechnej paniki.

Czegóż chcieć więcej?

Przypomniała sobie oczy magnatowicza patrzące na nią z tak bliska i poczuła słodki dreszcz.

\*\*\*

Z ganku dworcowca przy Mickiewicza 44 roztaczał się widok nad Povistulem aż hen, ku gajom brzoźowym, posadzonym na okolicznych wzgórzach w miejsce lasów pierwotnych, bardziej ciemiste chaszczki przypominających. Zofija wystawiła twarz do słońca i przymknęła oczy. Jak miło było pomyśleć, że nie musi iść do pracy, że może tak sobie siedzieć i siedzieć, aż jej się znudzi...

Czy raczej, aż przestanie mieć z czego płacić dzierżawę.

Westchnęła, przymknęła oczy. Jeszcze nie do końca dotarło do niej, że od wczoraj jest bezrobotna. Trudno się dziwić – zwolnienie przyszło tak nagle i nieoczekiwanie, że wydawało się raczej jakimś złym snem, niż jeszcze gorszą rzeczywistością. Ledwo kilka dni temu zajmowała niezbyt wysokie stanowisko w redakcji drugiego czy trzeciego, zależnie, jakiemu rankingowi wierzyć, najbardziej opiniotrajczego próźniowca w układzie gwieźdny. Narzekała na nie – czy raczej na fakt, że na nim utknęła – a także na panujące w redakcji stosunki, nie wspominając o szefostwie, ale mimo wszystko lubiła tę pracę. A teraz zaczynała się zastanawiać, czy wpieryw sprzedać elegancką aerobrykę, czy ścigłego działota. Bo coś spieniężyć musiała.

Myślami wróciła do rozmowy z baronową Pudelkowską. Do biura wezwana została w trybie pilnym. Już od progu wyczuła, że będzie źle. Redaktor naczelna patrzyła na nią najsurowszym ze swoich spojrzeń – a miała takowych całą paletę. Rychło się okazało, co było przyczyną tak podłego humoru. I w jaki sposób baronowa zamierza go sobie poprawić.

Zofija otworzyła oczy, gdy jedna z tuzinów bielutkich chmurek na moment przesłoniła słońce. Jak długo jeszcze czekać na sygnał z Factum? zastanawiała się. Lider na rynku

próżniowców już na pewno wie, że dziennikarka Kurjera Kasjopejskiego jest aktualnie bez zajęcia. Kiedy zdecydują się ze mną skontaktować? A może to ja powinnam otwarcie rozgłosić, że szukam pracy?...

Wstała i przechyliwszy się przez poręcz ganku wciągnęła w płuca wiatr niosący zapach okolicznych wzgórz. Ale przyjemność trwała tylko chwilę. Wyczuła na sobie czyjś wzrok. Spojrzała w bok. To sąsiad z sąsiedniego ganku obserwował ją z wyraźnym zainteresowaniem. Nie czynił tego po raz pierwszy, ale za to po raz pierwszy Zofija poczuła, że bardzo jej to przeszkadza. Dotąd tolerowała jego nieudolne zaloty, nawet sprawiały jej niejaką przyjemność. Ale teraz nie była w nastroju. Czas, żeby zjadł harbuza, pomyślała.

– Mam wezwać pacholków miejskich, czy waść sam tego poniechasz? – spytała na pozór spokojnie, ale targające nią emocje przebiły się w postaci piekącego zjadliwości tonu.

Szlachetka zamrugał oczyma, a potem otworzył usta jakby sposobiąc się do retorty, lecz tylko bladł coraz bardziej. Zofija, marszcząca dotąd brwi, uniosła je teraz. Czyżbym za ostrego zadała mu dzięgielu z kminem? pomyślała. Cóż on tak na mię patrzy i patrzy?

A potem, nanosekundę później, niż uświadomiła sobie, że mężczyzna nie patrzy na nią, jeno za nią, jakieś drzenie przeszło powietrze. Wtem rozległ się srogi huk, pod którego naporem kopopiętrowy dworkowiec zadrżał w posadach. Zofija złapała za poręcz i odwróciła się.

Nad wzgórzami unosiły się już nie barankowe obłoczki, lecz rdzawosine chmurzysko olbrzymich rozmiarów.

Rozległ się powszechny rejwach, gdy mieszkańcy dworkowca wylegli na ganki sprawdzić, co się dzieje. Słuchając gorączkowych nawoływań i histerycznych krzyków patrzyła na chmurę wciąż rosnącą i kłębiącą się niczym żywa a złowroga istota.

A więc się dokonało!

Instykt dziennikarza – nawet zwolnionego dyscyplinarnie – zadziałał; Zofija szybciej niż sąsiedzi otrząsnęła się z wstrząsu. Wiedziała, co teraz nastąpi: chaotyczna akcja ratunkowa, powszechna panika, której próbować nieudolnie będą zaradzić władze, oblężenie kosmodromów...

Musiała wykorzystać swoje kontakty, by się salwować.

Ganki wciąż ugiwały się pod ciężarem wylegających na nie mieszkańców, ale Zofija już zatrząskiwała za sobą drzwi.

Na stole leżało wczorajsze wydanie Factum. Wiodący próżniowiec wysunął się jeszcze dalej przed Kurjera, który nie mógł już mieć nadziei nawet na deptanie mu po piętach. Gdyby Zofija powiedziała była baronowej, czego dowiedziała się u Koniecgalaktyckich, role być może by się odwróciły. Tymczasem to z pierwszej strony Factum wystawała twarz starosty Kasandryckiego, a nagłówek krzyczał – po wyciszeniu już tylko niemo – wszem wobec: „Wszyscy szczęśniemy! Straszliwa prawda ujawniona na magnackim przyjęciu!”

Jeno przyzwyczajeniu publiki do krzykliwych nagłóweków zawdzięczać można było, że dotąd nie wybuchła panika. Wieść wyniesiona z przyjęcia wbrew złożonej przez wszystkich magnatowiczowi obietnicy była już wiadoma każdemu Dalekopolaninowi. Zofija domyślała się tylko, ile sprawca przecieku otrzymał od pisma. Jej informacja, że kochanka starosty Kasandryckiego to córka z nieprawego łóża księcia wojewody okazała się nie mieć w porównaniu z tą wieścią prawie żadnego ciężaru gatunkowego.

Zwłaszcza teraz, gdy przekalkulowany na nice z marketingowego punktu widzenia nagłówek okazał się trafiać w sedno. Bo oto wzgórzami, pod którymi znajdowały się prastare kopalnie zatrząśł wybuch.

Za twarzą starosty, w głębi trójwymiarowego obrazu, widniała twarz tego, którego nieoczekiwanemu czarowi uległa. Magnatowicz uśmiechał się do kogoś poza kadrem. A Zofija nagle zerwała się, narzuciła kubrak i wybiegła z mieszkania.

Świat wokół się rozpadał, ale ona czuła coś podobnego już od wczoraj. Skoro przez magnatowicza straciłam pracę, to i on powinien mi teraz przyjść w sukurs, myślała, wskazując na gniadego działota metalic.

Ruch uliczny i powietrzny przejawiał już pierwsze oznaki nadciągającej masowej histeryji.

\*\*\*

– Zawracać! Proszę zawracać, jeśli łaska!

Pachołek z duktówki próbował opanować chaotyczniejący ruch uliczny zachowując przy tym dobre maniery, ale na razie nie mógł poczytywać sobie tego za sukces. Dukt napowietrzny wiodący do kosmodromu był już zapchan do tego stopnia, że zamiast galopować, wehikuly sunęły nieledwie stępa, choć knykcie zaciśniętych na lejcach i cuglach rąk białały wszystkim z napięcia.

– Zawracać! Zawracać, do diaska!

Pachołek sięgnął po środek przymusu werbalnego, ale nadal bez skutku. Zlokalizowane na skrzyżowaniu dróg wylotowych prezydium straży miejskiej okazało się nieprzygotowane na sytuację nadzwyczajną, jaką był bez wątpienia powszechny *exodus* mieszkańców miasta. Rozkaz z centrali nakazywał załodze odprawiać uciekinierów z powrotem do miasta, by uniknąć obłożenia kosmodromu i zablokowania tras dolotowych, ale *nec Hercules contra plures*. Pachołek mógł sobie do woli wołać i gestykulować – wehikuly omijały go wąskim łukiem i parły dalej, na siłę pakując się w tężejącą z każdą minutą tłuszcę.

Zofija zgrzytała zębami i walczyła z chęcią, by skrócić poza wyznaczony pas ruchu. Otwarta przestrzeń kusila, ale za puszczenie się w swobodny lot poza wyznaczoną trasą groziły nie tylko kary pieniężne.

Właśnie jakiś zniecierpliwiony do imentu towarzysz niedoli wdusił ostrogę gazu i na karym bachlocie puścił się cwałem poza trasę, w kierunku widocznej w oddali rozległej sylwetki kosmodromu. Zrazu zdawało się, że mu się uda – smukły wehikul wystrzelił przed siebie jak bełt i mahał w odległości jak mknący solarokół. Ale nie uleciał i ćwierć stajania, gdy pomknęły ku niemu drapieżne neogary. Bezdusznie skuteczne automaty osaczyły go błyskawicznie i niemiłosiernie. Uwięziony w lepkiej sieci promieni przechwytyjących targnął się tylko raz i znieruchomiał w powietrzu. Miał tak wisieć, patrząc jak opodal sunie rzeka wehikulów, aż przybędą pachołkowie i go uwolnią. Zważywszy jednak na ilość zadań, jaka spadła nagle na barki straży miejskiej, nie mógł spodziewać się tego w najbliższym czasie.

Zofija przebierała tedy nogami na swoim działocie, czekając, aż opieszale nurt zawiedzie ją do skrzyżowania. Tam zamiarowała odbić w bok, ku siedzibie magnatowicza. Pas wiodący do kosmodromu był zajęty, ale w drugą stronę nie kierował się nikt. Będą patrzeć na mię jak na obłąkaną, pomyślała, ale zobaczymy, kto koniec końców szybciej umknie przed zagładą...

Wtem krótki błysk rozświetlił niebo. Powietrze zadrzało, a potem w rzekę pojazdów runął przeciągły grzmot. Zofija – jak i wszyscy – spojrzała przerażona tam, skąd dobiegł hałas i huk.

Czyli w kierunku Robakowego Kaptura.

Nad obły grzbiet wzbijało się oto nowe nienawistne chmurzysko.

Konwulsyjna przebiegła cielsko drogowego węża, a potem wehikuly prysnęły na boki jeden tysiąc za drugim. Napowietrzna autostrada rozproszyła się i przemieściła skosem ku kosmodromowi. Zbiegowie pędzili przed siebie na wyścigi, byle szybciej, byle dalej przed neogarami. A te, choć wyskoczyły hurmem z aerobud i choć dawały z siebie wszystko, były zwyczajnie zbyt mało liczne, by położyć tamę naporowi strachu. Niepowstrzymana fala uchodźców popędziła ku kosmodromowi, walcząc z targającymi powietrzem falami

posteksplozyjnymi i znacząc szlak rzucającymi się w zwojach promieni przechwytyjących pechowcami, którzy padli łupem neogarów.

Zofija poczuła dziką, irracjonalną chęć, by podążyć ze wszystkimi w tym ślepych pędzie ku ratunkowi. Zwalczyła ją jednak i skręciła w pusty pas wiodący w kierunku posiadłości magnatowicza – i rozciągnionych nad różaną wstęgą Vistuli wzgórz. Nie musząc liczyć się z żadnymi współużytkownikami duktów, rozwinęła maksymalną prędkość. Co rusz rzucała okiem na wirujący obłok zagłady i serce w niej drżało na widok szaroburego ogromu, który prężył się coraz bliżej. Zagryzała wszak zęby i pędziła przed siebie.

– Albo zaraz będę leciała w luksusie na orbitę – mruzczała, wypatrując sylwetki pałacu Konicgalaktyckich – albo jestem największą gamońką planety.

Wtem kolejny błysk, kolejny dygot i kolejny huk obwieściły, że rzeczy mają się jeszcze gorzej, niż się dotąd zdawało. Zofija była teraz bliżej wzgórz, więc i impet odczuła silniej. O mało nie zgubiła rytmu, gdy fala uderzeniowa omiotła jej rączego działota.

– Najświętsza Panienko! – zawołała, w ostatniej chwili odzyskując równowagę. Zdjęta nagłą zgrozą, przekonana, że jednak strzeliła straszliwe głupstwo, byłaby może i zawróciła, ale w tej chwili ujrzała imponujące kształty siedziby rodowej Konicgalaktyckich. Spięła działota i skierowała się w pierwszy zjazd. Niebawem widziała już staromodne czerwone dachówki i sposobila się do lądowania. Czemu tu tak spokojnie, pomyślała...

...i gdyby nie jakiś instynkt, pewnikiem rozbiłaby się o elegancko zamaskowane wizualnie odgórne ogrodzenie. O włos wyminęła materializującą się dopiero teraz bramę napowietrzną i zatrzymała się, czekając na kontakt.

– Pan nikogo nie przyjmuje – ozwał się z głośnika suchy głos odzwiernego.

– Jam jest Zofija Dociekliwska, byłam na ostatnim przyjęciu, mam ważną informację dla pana! – wyrzuciła z siebie jednym tchem, próbując opanować wierzgającego między sprzecznymi trybami ruchu działota.

– Pan nikogo nie przyjmuje – powtórzył beznamiętnie głos. – Fora ze dwora.

– Proszę choć przekazać panu, że przybyłam! – zawołała z nutką paniki w głosie. – Nie będzie to bez nagrody!

Odzwierny umilkł. Zofija z bijącym sercem czekała, co się stanie. Albo rozmawia z magnatowiczem, myślała gorączkowo, albo właśnie nasyła na mię hajduków!

Nie czekała długo, choć każda sekunda zdawała się jej minutą. Wreszcie głośnik zatrzeszczał. Wstrzymała oddech.

– Pan prosi.

Po chwili stawiała działota przed pałacem. W towarzystwie służ weszła do środka.

– Proszę łaskawie zaczekać.

Usiadła na krześle i próbowała pozbierać myśli. Cisza i spokój po chaosie i hałasie desperackiej jazdy oszołomiły ją, co jeszcze pogłębił fakt, że w pałacu nikt nie wydawał się poruszony strasznymi wybuchami, które przecie musiało się tu odczuć mocniej jeszcze, niżli w bardziej oddalonym mieście. Spodziewała się, że zastanie magnatowicza w ferworze przygotowań do wylotu, że pod pałacem gotowy do drogi stać będzie kosmolot, że na jej widok Tadeusz Konicgalaktycki rzuci krótko: „Proszę do środka, porozmawiamy na pokładzie”... Tymczasem gdyby na własne oczy i uszy nie widziała i nie słyszała wybuchów ani paniki w mieście, mogłaby pomyśleć, że przybyła do magnackiej posiadłości w dzień jak co dzień.

Syknęła służa. Zofija podniosła wzrok, spodziewając się służi, lecz oto z głębi domu wyszedł on – magnatowicz. Miał na sobie luźny podomowy żupan z czerwonego złotogłowiu wyszywanego złotą nicią w młeczne dróżki, a na nogach żółte barankowe kapcie z metalowymi podkówkami. Czuba rozczesał był na skronie, młodemu zaś wąsowi pozwolił spływać swobodnym łukiem wokół ust.

– Witam w skromnych progach – rzekł, kłaniając się.

Z jakiegoś powodu ta grzeczność zdała się nagle Zofiji tanim pozerstwem.

– Straciłam pracę – rzuciła od razu, nawet dygnięciem nie okazując szacunku. Coś w niej protestowało przeciwko udawaniu, że kurtuazyją można cokolwiek załatwić. – Ktoś inny nie usłuchał waszmości i rozniósł wieść. Ten ktoś pławi się teraz w gotowiźnie, a ja nie mam za co opłacić dzierżawy. Zreszta zapewne moje mieszkanie w dworkowcu wnet obróci się w proch. Co waćpan na to?

Tadeusz patrzył na nią przez chwilę, a potem uklonił się i wykonał uprzejmy *gestus*.

– Proszę do środka.

Wprowadzana na pokoje przez samego właściciela Zofia czuła sprzeczne emocje. Ni to złość, ni to konfuzja, ni to strach wreszcie targały nią, gdy wchodziła na pokoje wspaniałego pałacu Konicgalaktyckich. Dopiero co skarciła tego panicza z antenatów jak byle szlachciurę, ba, wręcz jak ciurę. A tymczasem on traktował ją uprzejmie i zapraszał do środka. Czy pod tą kurtuazyją kryły się złe zamiary? Nie tak to jeszcze dawno i nie daleko, gdy ojciec księcia wojewody batogiem potraktował naprzykrzającego się mu cześnika. Zofia była zaś tylko dziennikarką... wróć! Była bezrobotną ubogą szlachcianką. Jak mogła się nie bać?

Tymczasem jednak Tadeusz Konicgalaktycki zachowywał się jak na Angielczyka-dzientelmena przystało. Poruszona takim traktowaniem, i to w takim domu, nie mówiła już nic, tylko potulnie dała się posadzić na rozległej otomanie. Otoczył ją przepych godny nie tylko księcia wojewody, ale i króla samego. Jej wzrok przeskakiwał to ku obiciom z najcudniej zsyntetyzowanych złotogłowiów i adamaszków, to ku teleportowanym wielkim nakładem kosztów meblom z prawdziwego ziemskiego drewna, ku antycznym trójwymiarowym portretom pokoleń znakomitości rodu Konicgalaktyckich, ku posązkom wreszcie mitologicznym i ku ultranowoczesnej a wielkiej telepikturze panoramicznej.

Na blisko pięciolokciowym ekranie widać było rzecznika prasowego księcia wojewody, stojącego przed tłumem korespondentów.

– Proszę łaskawie posłuchać – rzekł magnatowicz i pogłośnił dźwięk.

– ...ostatnie potencjalne ognisko groźnego gazu zneutralizowawszy – mówił wymuskany szlachcic w eleganckim popielatym kontuszu i z gustownie oksydowaną szablą dekoracyjną – zapewnić mogę, że choć potęga eksplozyji *visibilter* olbrzymie wywołała w narodzie poruszenie, to nie bez kozery powiadali starożytni, iż trwoga zły to *consiliarus*. Moimi usty książę wojewoda zapewnić pragnie, że niebezpieczeństwa nijakiej nie ma, a nawet gdyby do kolejnych eksplozyj doszło, po czemu jak rzekłem nie ma przesłanek nijakich, to dotkną one jeno rejonu Robaczego Kaptura i dla miasta, choć na pozór tak bliskiego, są *totaliter* niegroźne.

Obraz przeskoczył.

– Tyle rzecznik – mówił młody prezenter o lśniącym nażelowanym czubie. – Sam książę wojewoda w celu zapobieżenia powszechnej panice podjął postanowienie o opuszczeniu swej orbitalnej rezydencji. – Pojawiła się migawka krążącego nad błękitno-zieloną kulą Dalekopolski czwórorgankowego dworu. – Jego przylot do Varsovii spodziewan jest w każdej chwili. Tymczasem prawa ręka księcia wojewody, podkomorzy Poduszczalski, zapowiedział podjęcie wobec władz dziennika Factum kroków prawnych.

Obraz przeniósł się na grubego wosacza w szkarłatnym kontuszu, z rękojeścią ceremonialnej szabli podciągniętą prawie pod samą szyję na szerokim opalizującym pasie.

– O ile hrabia redaktor Kunik – mówił podkomorzy z wyraźną ekscytacją, prawie przy tym pomimo tuszy podskakując – nie da Jego Miłości księciu wojewodzie lub mię *in* jego *persona* satysfakcji w ciągu dni trzech, będziemy zmuszeni podać go do Trybunału za propagację paniki w narodzie, a i w wątpliwość podać jego szlachectwo!

– Książę wojewoda zwoła konferencję prasową niezwłocznie po wylądowaniu w Varsovii – ciągnął prezenter. – W celu udowodnienia, że Dalekopolsce niż nie grozi, przelot

orszaku aerokolasek księcia planowany jest tuż nad pasmem Robakowego Kaptura. *Naturaliter* będziemy transmitować całe wydarzenie z pokładu Karmazynowego 29.

Magnatowicz na powrót wyciszył dźwięk. Zofija oderwała wzrok od ekranu, na którym korespondent zagalaktyczny donosił o rebelii na Kresach i spojrzała w emanujące dziwnym spokojem oczy młodzieńca.

– Waćpanny mieszkaniu nic nie grozi – rzekł ten powoli, uśmiechając się ciepło – jak i całemu miastu. Nie ma powodu do paniki, nie ma powodu uciekać.

– A te wybuchy? – przerwała, ale on tylko szerzej się uśmiechnął.

– Ekspłodowały nagromadzone gazy. Następnym wybuchów nie będzie, a nawet gdyby były, to przecie miastu jak dotąd nic się nie stało.

– Kto za to zaręczy?

– Nie byle kto uznał, że niebezpieczeństwa nie ma. Książę wojewoda zasięgnął rady najznamienitszych uczonych. Dlatego zamiaruje przybyć tu *personaliter*. Zatem *repeto*: dworkowcowi waćpanny nic nie grozi. Jak i żadnemu innemu.

Zofija zagryzła wargi, prawie przekonana. Miała już nawet pokiwać głową, gdy wtem przypomniał jej się starosta Kasandrycki.

– A starosta Kasandrycki? – rzuciła. – Tu, w tym domu wieszczę tak strasznie...

Magnatowicz westchnął.

– Starosta Kasandrycki wiele w życiu przeszedł. W głębiach *universum* widział rzeczy, które nas kosztowałyby utratę zmysłów. Człek to mądry, lecz do jego słów należy podchodzić nader ostrożnie.

– Czyli te słowa o nieuchronnej zagładzie to były bredzenia waryjata? – rzuciła Zofija z bezpośredniością dziennikarza czującego krew.

Magnatowicz zmarszczył brwi.

– To za wiele. *Sufficit* rzec, że słów jego nie należy nadto uważać.

– Czy-li waćpan się nie lęka? – spytała wprost.

Zdawał się wahać przez sekundę, lecz kiedy się odezwał, jego głos brzmiał niewzruszoną pewnością.

– Nikt w Varsovii i na całej Dalekopolsce niczego lękać się nie musi.

Zofija poczuła, jak z serca spada jej jeden kamień. Nie miała powodu nie wierzyć magnatowiczowi. Po prawdzie to nie miała powodu mu i wierzyć, lecz coś w jego postawie i sposobie, w jaki z nią rozmawiał, przywróciło jej równowagę ducha i spokój wewnętrzny.

Przynajmniej w materji losu planety – bo o swój los indywidualny bała się nadal.

Otwierała już usta, by skierować rozmowę właśnie na te tory, lecz Tadeusz Konicgalaktycki ją uprzedził.

– Pozostaje kwestia własnego dobrostanu waćpanny. Powiem tak: jeszcze nie teraz, ale pewnikiem wnet podejmę działania także w tej mierze. Proszę się nie lękać o swą pracę. Proszę mi zaufać, a nie będzie waćpanna żałować.

Zofija prawie się uśmiechnęła – prawie, bo uświadomiła sobie nagle, że przyszła tu wyładować się na nim, a on wytrącił jej z rąk wszelką broń. Nie miała się o co martwić, więc nie miała się także o co złościć.

– Pora na mię – westchnął magnatowicz nieoczekiwanie i podniósł się z otomany. – Proszę łaskawie wybaczyć, ale są kwestyje, które choć nie tak ważne, jak wizyta waćpanny, wszelako domagają się atencji. Proszę zostawić dane kontaktowe u sługi. Niech waćpanna przyjmie wyrazy mojego uszanowania – wypraktykowanym ruchem ujął dłoń Zofiji i pocałował szarmancko. – Do obaczyska.

Tym razem dygnęła jak grzeczna dziewczynka. Uśmiechnął się czarującym uśmiechem, w którym widać było jednak jakiś smutek, i zniknął w sąsiedniej sali.

Dosiadając działota Zofija próbowała poukładać sobie pączkujące bezładnie myśli. Teraz, poza murami, w promieniach słońca trudno jej było uwierzyć, że jeszcze przed

momentem rozmawiała w cztery oczy z tak potężnym człowiekiem – ona, dziennikarka prosta, a do tego była. Cóż to za dziwny młodzian, myślała, oglądając się przez ramię na oddalający się coraz szybciej pałac. Jakie działania zamierzał podjąć w kwestii jej „dobrostanu”? I czy mogła mu zaufać, jak o to prosił?

Trzeba go było bardziej pociągnąć za język, myślała, sunąc po wjeździe ku pasowi ruchu. W dali widziała nadal korek utworzony przez uciekinierów, ale jakby już nie tak ciasno wbity w wąską szyjkę duktu. Albo istotnie nie ma się czego obawiać, albo popisałam się dziecinną naiwnością...

\*\*\*

W drodze powrotnej do dworkowca Zofija kupiła wyborowy kwas chlebowy dojrzewający w butelce. Zanosilo się na wieczór przy kieliszku i przed telepikturą. Cóż miała do roboty jako bezrobotna dziennikarka po pełnym wrażeń dniu?

Miasto wciąż było zalterowane, ale apel księcia wojewody o spokój, ewidentność faktu, że kosmodrom i tak nie jest w stanie obsłużyć tylu ludzi w tak krótkim czasie, i brak kolejnych eksplozji trochę ostudziły nastroje. Pachołkowie z duktówki sprawnie kierowali ruchem, który teraz w przeważającej części kierował się do miasta, zamiast byle odeń dalej. Dziw, że tak łatwo poszło, pomyślała Zofija, parkując działota w zagrodzie na trzydziestym piątym piętrze dworkowca. Jeszcze nie tak dawno mogło się wydawać, że pełne przerażonych uciekinierów dukty pozostaną zakorkowane na amen i na Bóg wie jak długo. Tymczasem przejechała przez centrum z nie większymi trudnościami, niż w zwykły dzień pracy w godzinach szczytu.

Z ganku rozciągała się panorama podwieczornej cyrkumferencji. Zamęt na ulicach z góry był wciąż widoczny, ale złowrogie kłęby nad wzgórzami rozwiął już wiatr. Gdyby nie wryty głęboko w pamięć obraz, Zofija mogłaby obserwować skąpany w złotym blasku zachodzącej gwiazdy dziennego krajobraz z pewną przyjemnością.

Na ganku obok nie było nikogo. Szlachetka wystraszył się wybuchów? pomyślała z rozbawieniem, choć niedawno sama bała się tak samo. A może to moje słowa tak podziały? przyszło jej nagle do głowy i uśmiechając się do siebie, wróciła do środka.

Otwarta butelka kwasu chlebowego rozniosła po pokojach rześki zapach. Zofija szybko przewdziała się w miękkie podomowe giezło i z ulgą usiadła na otomanie. Pociągając pierwszy łyk trunku włączyła telepikturę.

– ...modyfikuje trasę, by zgodnie z życzeniem księcia wojewody przelecieć nad pasmem Robakowego Kaptura – głos niewidocznego reportera relacjonował widok z pokładu Karmazynowego 29. – Sam sławny szczyt widać już na horyzoncie. To właśnie ta okolica jeszcze tak niedawno spowita była kłębami dymu po eksplozjach. Teraz jak widać powietrze jest czyste. Orszak księcia wojewody zniża się już, podchodząc do ostatniej fazy lotu... – kamera skierowała się na łukowato wygiętą linię szybko rosnących kropek, spadającą z nieba ku płożącym się gdzie nie spojrzeć wzgórzom. – W którejś z tych aerokolasek siedzi sam książę. W której dokładnie, nie wiemy, gdyż jest to ściśle strzeżone *secretum*. Takie obostrzenia wprowadzono od czasu, gdy pewien paliwoda próbował zemścić się na księciu wojewodzie za utratę dożywocia na jednej z asteroid, którą to decyzję podjął był książę wojewoda kończąc znuorny proces porządkowania praw własności na Dalekopolsce i okolicznych satelitach. Tym, którzy byli podówczas dzieciątkami w kołysce trzeba wiedzieć, że w pierwszym okresie kolonizacji naszego układu gwiazdnego wielu szlachty niepewnego powodzenia pozajmowało rozmaite działki, nie bacząc na dobro publiczne. Powołując się na starożytną zasadę „szlalcic na zagrodzie równy wojewodzie” oponowali się zmianom, przewlekając procesy, aż dopiero książę wojewoda *pro publico bono* położył temu kres...

Zofija przestała słuchać, znuozona beznamiętnym głosem reportera, wyciągającego lada

starą sprawę, byle jeno załatać dziurawą relację.

– Pewnie o ile zaraz się co nie zdarzy, zacznij opowiadać o pojedynku księcia z lordem Pembrok – mruknęła z przekąsem.

Nie otrzymała wszak szansy weryfikacji swej przepowiedni, bo coś się zdarzyło.

I to nie było co.

– Pogoda chyżo się niestety deterioruje – zmienił nagle temat reporter. – Wiatr się wzmaga, lecz księżę wojewoda dysponuje od niedawna aerokolaskami andromedzkiej roboty, doskonale resorowanymi, tuszę więc, że mimo onych turbulencji... – jakby dla ilustracji, Karmazynowym 29, a więc i obrazem nagle zatrzęsło – ...które jak waćpaństwo widzą okrutnie są srogie, komfortu jego księżęcej mości nic nie...

Zofija nalewała właśnie sobie kwasu, gdy wtem rozległ się hurkot jakby kamiennej lawiny i ze szczytu widocznego w kącie obrazu pagórka, pod którym przelatował orszak księcia wojewody, trysnął gejzer piachu. Reporter z pokładu Karmazynowego 29 zaczął wołać coś podniesionym głosem, lecz zagłuszył go hałas. Zdawało się, że to sztorm na morzu tak ryczy, lecz na morzu nie z wody, a z kamieni złożonym. Sznur podchodzącego do lądowania orszaku wojewody zniknął za welonem pyłu. Kolejny wybuch? pomyślała Zofija, lecz sama wnet odrzekła sobie, że być to nie może – zamiast eksplozji i olbrzymiej chmury z pagórka trysnęła fontanna kurzu, który rozwiął się między szczytami. Ale skąd u licha ów hurkot ogłuszający?

Wtem z kolejnego pagórka trysnął drugi kamienisty gejzer. A potem z następnego. I następnego. Karmazynowy 29 zatoczył się, gdy rozbryzg skalnego gruzu przeszył powietrze ledwo kilkadziesiąt sądni od maszyny. Ekran na moment pociemniał. A kiedy się rozjaśnił...

Zofija ścisnęła w dłoni butelkę, aż szkło trzasnęło w jej smukłych palcach, a mieszanina trunku, krwi, okruchów szkła i chleba skalala perseuski dywan. Oto na jej oczach działo się coś, czego nie mogłaby wyśnić w najgorszych koszmarach.

Góry ożywały.

Szczyty, z których przed momentem wystrzelały pod niebo strugi kamieni, drżały, roztaczając hałas tak straszliwy, że mikrofony Karmazynowego 29 nie zdzierżyły obciążenia. Telepiktura Zofiji zadrżała od huku, a potem umilkła. Kobieta z otwartymi ustami patrzyła, jak wzgórze rozchylają się jakby rozpierane od środka przemożną siłą. Coś zdawało się wypełzać z wnętrza, niczym szkaradne robaki z niewiele ładniejszego kwiatu.

– Proszę wacpaństwa, jesteśmy właśnie świadkami... – zadrżał głos prezentera, który ze studia przejmował głos od tragicznie zamilkłego reportera na miejscu akcji. – Jesteśmy świadkami... Czegoś, czego nikt się nie spodziewał... Być może to jakieś nieznane nam dotąd zjawisko fizyczne lubo geologiczne... Możemy być pewni tylko tego, że księżę wojewoda chyba nie jest nadto kontent z takiego obrotu sprawy. Gdy zdecydował się na przelot tą trasą...

Prezenterowi głos uwiązł w gardle, bo oto czubek jednego ze wzgórz opadł na wszystkie strony w postaci lawiny, a z wnętrza szczytu wynurzyła się...

...wielobarwna, wieloodnóżowa, wielgachna maszyna. A przynajmniej jej górna połowa. Minęło kilka chwil, nim ciężki twór wydostał się w całej okazałości ze skalnego zwałiska. A potem wystarczyło, że machnął jedną z macek, która pomknęła na spotkanie Karmazynowemu 29 – i obraz zniknął.

– Przerwywamy relację... – jęknął prezenter, ale Zofiji już przed telepikturą nie było.

Nie tylko ona wpadła na myśl, że lepszy *prospectus* niż na czarnym ekranie znajdzie na ganku. Zalterowana, w ostatnim momencie przypomniała sobie, że próg jest za wysoki i przeskoczyła go zgrabnym susem. Kiedy wybiegła na zewnątrz, cały dworkowiec huczał od tupotu i krzyków. Razem z kilkoma setkami najszybszych mieszkańców wpatrzyła się ku wzgórzom.

Tak. Wzgórze ożywały, a dokładniej mówiąc, były rozwalane od środka przez potworne maszyny. Gołym okiem widać było dalekie, lecz i tak olbrzymie sylwetki straszliwych istot,



wydobywających się z wnętrza pasma Robakowego Kaptura. Jedna po drugiej olbrzymie postacie kaziły swoimi szpetnymi kształtami łagodnie krzywizny wzgórz. I nie było im końca.

We wrzawie podniesionej przez mieszkańców dworkowca, która rozbrzmiała, gdy pierwszy szok minął, Zofija rozróżniała złorzeczenia pod adresem księcia wojewody i modły do Najświętszej Pani. Sama milczała. Najchętniej rzucałaby klątwy na Tadeusza Koniecgalaktyckiego, który wykazał się pożałowania godną naiwnością, wierząc w zapewnienia władz. A może... Zofija poczuła chłód w piersi i gorąc na policzkach. A może zdrwił sobie, obełgał mię, że donikąd się nie wybiera, gdy tymczasem po moim odjeździe wsiadł w aerokoc i pomknął na kosmodrom drogą uprzywilejowaną?!?

Poczuła, że robi się jej słabo. Tak, była już pewna, że została wystrychnięta na dudka. Strach, ba, przerażenie na widok straszliwych machin, powstałych nagle z górskiego łona, łączyło się w niej w dziwnej konkocji ze wstydem i gniewem. Zarazem to jednak one nie pozwoliły jej wpaść w panikę, która ogarnęła pozostałych mieszkańców dworkowca. Krzyki wzbity się pod niebo, gdy do przekleństw i modłów dołączyły inne wołania.

– Bij, kto w Boga wierzy! – skrzypiał jakiś weteran, któremu przypomniały się dawno pogrzebane w bazach danych interstelarne okazyje.

– Tomasz, karabełę! – wołał inny bojowo nastawiony szlachcic.

– Hej, Gerwazy, daj gwintówkę! – krzyczał kolejny raptus.

Zofija gryzła wargi, miotając się wewnątrz od jednej targającej nią emocji do drugiej. Wreszcie przeważył strach. Oderwała dłonie od filarów ganku i wróciła do wnętrza, znów prawie zapominając o zdradzieckim prognozie.

Ekran był już wypełniony obrazami, a głośniki huczały od podnieconych głosów. Pokazywano właśnie zdjęcia z satelity – zbliżenia wykonane przez orbitalne kule-szpiegule ukazywały rosnącą wciąż armię machin. Wszystkie po wyswobodzeniu ze skalnych objęć ruszały w jednym kierunku.

– Ich celem jest niechybnie Varsovia! – sapał jeden podniecony komentator.

– Z czegoż waś wnosisz? – dopytywał rozbieranooki prezenter.

– Z dyrekcyj, w jaką zmierzają!

– Jakież mogą mieć zamiary? – pytał prezenter drugiego eksperta.

– Oczywiście oczywistość, że złowrogie! Dość popatrzeć na ich posturę. To maszyny bojowe!

– Dziw, że księżę wojewoda wyszedł bez szwanku – wyjąkał prezenter.

Dalszą rozmowę przerwały ujęcia z nad wzgórz, nakręcone przez podlot wojskowy, o czym świadczyły furkoczące z grzyw pancernych bachlotów czerwone proporczyki z orłem. Dzielni wojacy podlatywali nad same maszyny, które na razie zdawały się ich ignorować. Zofija z niedowierzaniem patrzyła na grube płyty barwnych panczerzy, na potężne hydrauliczne muskuły, na otwory sterczących groźnie dział i działek, wreszcie na wieżyczki – bo przecie nie głowy! – najeżone lśniącymi złowrogo kamerami. Dopiero wypowiadający się ekspert zwrócił jej uwagę na inny szczegół.

– Proszę waćpaństwa zwrócić uwagę, że owe maszyny są jak prosto z manufaktury. Ani śladu zadrapania, ani jednego wgniecenia, lakier aż lśni!

– Jak to możliwe? – podskoczył prowadzący.

– Są nowe, nigdy nie używane. Zamontowano je tu specjalnie z myślą o zaatakowaniu obcych. To znaczy nas. To ich jedyna rola...

– Jest i druga możliwość – wtrącił drugi gość. – Mogą być wykonane z materiałów całkowicie niezniszczalnych, jakich nie zna jeszcze nasza cywilizacja. *Consequenter* mogą być przeznaczone do innych celów, na przykład do robót górniczych, i mieć już za sobą wiele zadań...

– Jedno drugiego nie ekskluduje...

– Chwileczkę, mamy połączenie z kolejnym ekspertem, profesorem Uniwersytetu

Uniwersalnego, imię Konstantym Żakowskim, ze studia w Cracovii. Co waćpan na to?

– Jest i trzecia opcja – odezwał się wiekowy brodac. – Mogły zostać wykreowane dopiero teraz w procesie nanosyntezy...

– Waść żartuje!

– Bynajmniej. Niedawne eksplozje mogły uwolnić do atmosfery nanocząsteczki, które wykorzystały materiał skalny do wytworzenia...

– Ależ wyłaniając się ze skał musiałyby się w takim razie pokancerować!

– Nie, jeśli tylko były wykonane z materiałów niezniszczalnych, jak to już tu powiedziano.

– Cóż nam teraz czynić, mości panowie? – pytał roztrzęsiony prezydent. – Proszę o krótkie wypowiedzi.

– Walczyć do ostatniej kropli krwi.

– Czmychać byle dalej.

– Modlić się.

– Dziękuję za rozmowę.

Zofija poderwała się z otomany i zaczęła chodzić w tę i w tę po pokoju, próbując pozbierać myśli. Chęć ucieczki była w takiej sytuacji zrozumiała, ale nawet jeśli w obliczu inwazyj władze zliberalizują ruch powietrzny, nie oznaczało to bezpieczeństwa. Jeśli maszynowe bestie rozpełzną się po okolicy, nawet rączy dzielot może nie wystarczyć. Zanim dotrze do najbliższej potężnej twierdzy, może wpaść w szpony, czy raczej chwytaki bestii o nieznanym jeszcze, ale prawdopodobnie straszliwych potencjach. Zresztą Varsovia jako stolica kolonii była najlepiej wyposażona i broniona. Gdzież można się było czuć bezpieczniej niżli tutaj? Chyba tylko na orbicie – choć kto wie, czy maszyny nie potrafią także dostać się i tam... Więc byle dalej w kosmos! Tak mówił rozum, ale Zofija czuła przemożną chęć, by czmychnąć dokądkolwiek, choćby w myślą dziurę, byle nie być tutaj.

Wtem w jej myśli wdarł się podniecony głos prezentera. Spojrzała na telepikturę.

– Informacja z ostatniej chwili! Chorągwie pancerne pod przewodem hetmana polnego koronnego Franciszka Bohomolca formują się właśnie na błoniach! Nasz reporter Marcin Wroński jest na miejscu. Marcinie?

Na ekranie ukazały się potężne sylwetki bułanków i gniadoszy husarskich, do których wsiadali właśnie towarzysze w tradycyjnych mundurach w lamparcie cętki. Na widok tych śmiałków w czapkach z piórkiem Zofija poczuła, jak jej serce rośnie. Będą się monstra miały z pyszna! pomyślała. Nasi pokażą im, gdzie raki zimują!

Chorągiew, moderowana na astralny ład, jęła się formować. Pancerze powietrznych rumaków błysnęły w słońcu pokrępowo, a tytanowe lotki skrzydeł świsnęły groźnie, gdy eskadra poderwała się w powietrze i pomknęła ku zbliżającym się maszynom. Zofija z zapartym tchem patrzyła, jak pułk pędzi ku wrogowi...

Nie, nie pędzi. Lotna husaria zmierzała na spotkanie dziwnie powoli, wręcz nieomalże ślimaczo. Czy oni chcą zmarnotrawić element zaskoczenia? pomyślała strapiona.

W tej jednak chwili przerzucono na obraz z lotu satelity. Chorągiew przyspieszyła nagle i zwarła szeregi, gotując się do natarcia na przeciwnika zmasowanym ogniem fazerowym. Zmiotą ich jak burza, pomyślała Zofija, patrząc, jak dystans między husarią a pierwszymi maszynami maleje w oczach. Wyrojone z gór pstrokate szeregi kroczyły nieświadomie na spotkanie zagłady.

Ale wtedy okazało się, że nie tylko husaria zna znaczenie elementu zaskoczenia.

Wtem, nagle, zniemacka, maszyny zatrzymały się na mgnienie, a potem zmieniły w przyprowadzające o zawrót głowy chmury migających w słońcu części i kolorów. Nie minęło pięć sekund, gdy zamiast paskudnych i groźnych, ale już oswojonych kształtów, na górskich graniach stało coś innego.

Stała eskadra lotnych rumaków niemal identycznych, jak husarskie.

Nieporuszony obiekt satelity gapił się obiektywnie, gdy przeistoczone maszyny śmignęły w powietrze i wbiły się w prąca wciąż ciężko przed siebie husarię. Rozbłysnęły fazery, powietrzem wstrząsnęły fale akustyczne, których drżący obraz komputer analizujący dane z satelity przeistoczył na powrót w słyszalne dźwięki. Zofija zakryła uszy, tak straszny był szcęk zderzonych pancerzy i skwierk przenikających się promieni fazerowych. Zakotłowało się, zawirowało, aż zewsząd do miejsca bitwy ściągnęły obłoki i zakryły widok. A kiedy się rozwiały, na placu boju pozostały tylko...

Nie pozostało nic.

Niżej, pod miejscem bitwy, na wzgórzach, widać było strzaskane skorupy husarskich lotorumaków. Dalej, a raczej bliżej miasta widać było kroczące potwory, jakby jeszcze większe, czy może raczej bardziej rozczłonkowane. Wymachując bojowo wielosegmentowymi odnóżami, sunęły niepowstrzymane w kierunku bezbronnej Varsovii.

Zofija odkryła uszy, słysząc, że hałas bitwy ustąpił rejuwachowi dyskusyj. Dolną połowę ekranu wypełnił przekaz ze studia. Nowy zaproszony do studia gość na gorąco komentował wydarzenia.

– Jak państwo widzą, te maszyny mają zdolność transformacji. Zali mają też zdolność stanowienia dla nas zagrożenia? – pytała rzeczowo doświadczona prezenterka Justyna Kabotyńska, jak zwykle w białej bluzce i z wyrazem profesjonalizmu na obliczu, która w międzyczasie zastąpiła nazbyt emocjonującego się młodego kolegę.

– Bez wątpienia kapacytują się, by wyrządzić wiele... – zaczął gość w elegancko skrojonym kontuszu z Wólczanki.

– Zali nie sądzi waćpan – przerwała prezenterka – że wobec tego zagrożenia powinniśmy pierzchać?

– Być może jest na razie zbyt...

– Proszę mi pozwolić zacytować słowa waćpana wygłoszone dwa lata temu, kiedy protuberancje słoneczne nieomal sięgały naszej stratosfery. Powiedział waćpan wtedy: Nie ma co czekać, trzeba uciekać!

– Tamta sytuacja była *totaliter* odmienna i...

– Czy aby na pewno? I wtedy, i teraz grozi nam całkowita załgąda, nasza kolonia może zostać zmieciona z powierzchni planety. Co wówczas?

– Na razie zbyt wcześnie wyrokować. Potrzebna nam *patientia*. Należy pierwej ujrzeć, jak nasze siły zbrojne...

– Waćpan sobie dworuje. Wszyscyśmy widzieli, co się stało z naszymi siłami zbrojnymi...

– Jeśli waćpani pozwoli mi dokończyć...

Gościowi tą razą dokończyć nie pozwoliły nowe obrazy z satelity. Oto maszyny dotarły na skraj wzgórz i stanęły nad miastem. Groźne, wielorękie postaci przez chwilę jak gdyby rozglądały się po okolicy, choć nic w ich ruchach, czy raczej w ich bezruchu bezpośrednio na to nie wskazywało. Zofija powodowana dziwną konkuncją strachu i ekscytacji wybiegła z powrotem na balkon. O mały włos nie dostała palpitacji serca – częściowo była to wina ledwo przeskoczonego progu, a częściowo ohydnie już bliskich sylwetek na wzgórzach. To już nie była telepiktura, to był widok chłonięty własnymi oczami. Poczwała, że kręci się jej w głowie.

A potem maszyny jęły schodzić ku Varsovii. Sparalizowana strachem, a może przykuta fascynacją Zofija patrzyła, jak to niewyobrażalne istoty suną ku miastu, jej miastu, deptając metalowymi stopy dworki, parki, chałupy, obory, zasiewy...

A potem zaskwierczały stołeczne fazery przeciwmetyorytowe i ku najeźdźnikom pomknęły śmiertcionośne promienie.

A potem maszyny zawirowały kolorami i kształtami, i zmieniły się w także same działka. Rozgrzmiała obustronna palba.

A potem Zofija miała dość i zataczając się wróciła do wnętrza, ledwo łapiąc równowagę po zaczepieniu stopą o próg.

Do przedstawiciela wojewody dołączyło tymczasem dwóch posłów na Sejm, skorych do zabrania głosu.

– Jak nazwaliby waćpanowie to, czego jesteśmy świadkami? – pytała dziennikarka. – Zagładą planety? Upadkiem cywilizacji? Kresem ludzkości?

– To egzageracja – sprostował poseł neomazowiecki. – Jeszcze nasza kolonia nie zginęła, poza tym nie jesteśmy jedyni...

– Może waćpana pociesza, że nie cała ludzkość zginie, lecz wyborcy domagają się czegoś więcej – przejął pałeczkę poseł neoinflancki.

– Maszyny zbyt mądre nie są – nie dał się wybić z rytmu Mazovianin. – Transformują się w to, co staje im na przeszkodzie. Kiedy atakowały ich nasze siły powietrzne, przeistoczyły się w lotorumaki; kiedy stanęły pod ostrzałem dział, same przyjęły ich formę. Mogłyby już dawno zniszczyć miasto, gdyby pozostały w formie eskadry lotniczej, ale nie pomyślały o tym. Musimy tedy baczyć, co przeciw nim wystawiamy. *Generaliter* tuszę, iż wyjdziemy z tych terminów obronną ręką.

– To optymizm, na który nas nie stać. Nawet, jeśli siła ognia owych transformujących się machin nie przekracza naszej, to wiemy jedno: że nasze zapasy energii są wyczerpywalne, ich zaś niekoniecznie. Trudno zakładać, że na wzór naszych dział przetransformują się w działa wyczerpane.

– Tak czy owak, wnet przekonamy się, zali owe „transformanty” dokonają transformacji naszego życia w nasz skon – podsumowała błyskotliwie Kabotyńska. – Proszę zostać z nami.

Kanonada nie ustawała. Gdyby ku miastu opadała choćby cała chmara meteorów, asteroidów i komet, zmieniałaby się już w niegroźną chmurę pyłu. Niestety, to nie ciśnięte ślepymi siłami przez bezkres kosmosu pociski uderzały na Varsowię, jeno zaawansowane technologicznie maszyny z celem i sposobem jego osiągnięcia. Ich pola siłowe i pancerze opierały się ciosom obronnych fazyerów; szczęściem ich postępy zostały wyraźnie zahamowane. Miasto zyskało czas by zorganizować obronę i uzyskać dodatkowy sukurs.

– Proszę waćpaństwa – obwieściła naraz prezenterka, poprawiając w uchu słuchawkę – wiadomość z ostatniej chwili. Krążowniki pancerne ORP Bucefał i ORP Kasztanka zmierzają już ze swoich orbitalnych leży nad Varsowię. Możemy się ich spodziewać w ciągu kilkadziesiąt sekund...

Zofija niewiele myśląc znów wyskoczyła na balkon, boleśnie objając się o próg. Myśl o tym, że kolejnym razem już pewnością się przewróci, nie zdążyła się wszelako załęgnać w jej głowie ani ból rozognić się w jej małym palcu, gdy wydała z siebie okrzyk zdumienia – i rozkaszała się nagle.

Wysoko nad wzgórzami z chwili na chwilę powiększały się dwie czarne kropki, ale nie widziała ich dobrze przez napływające jej do oczu łzy. W zdumieniu zbyt głęboko wciągnęła powietrze przesycone wyziewami pofazyerowymi. Pochyliła się i dłuższą chwilę próbowała kaszlem ukoić palenie w płucach. Podniosła wzrok dopiero, gdy z sąsiednich ganków dobiegły podniecone okrzyki:

– A zadajcie psubratom bobu!

– Rozpędźcie ich na cztery wiatry!

– Skróćcie im takie kurty, żeby popamiętali!

Zofija zacisnęła dłoń na poręcz ganku. Krążowniki z kropek przeistoczyły się w potężniejące z każdą chwilą smukłe trójki.

– To Bucefał i Kasztanka! – powiedziała, a raczej wychrypiała, patrząc, jak okręty kosmiczne nadciągają od tyłu na niczego się nie spodziewające maszyny. Groźne kształty spięrzyły się nad Robakowym Kapturem, jakby napawając się przewagą nad

transformantami, które jak gdyby nigdy nic raziły nadal miasto z dział bliźniaczo podobnych do baterii broniącej stolicy.

Nie! Już nie. Bo oto maszyny wirują się znów i jaskrawią, a potem naprzeciwko dwóch krążowników w powietrzu staje dwadzieścia takich samych. W jednej nanosekundzie wywiązała się bitwa, zażarta i metalowa; stopione okrutnym żarem promieni śmierci panczerze łały się na ziemię strumieniami. Gdy oba kosmoloty Rzeczypospolitej legły wreszcie w rozżarzonych tęczowych kałużach pośród wzgórz, transformanty jak gdyby nigdy obróciły się z powrotem w działa i podjęły mozolne posuwanie się w kierunku miasta.

Z sąsiednich ganków dobiegło zgrzytanie zębów.

– A bodaj was psi zeżarli!

– Szelmy! Niech wam kat świeci!

– Jechał was sęk, takie syny!

Zofija poczuła nagle strach. Prawdziwy strach. Już wcześniej się bała, ale dopiero teraz poczuła strach w głębi swego jestestwa. Nie dajmy im rady, pomyślała z bolesną jasnością, patrząc jak pomimo zmasowanego ognia dział przeciwmeteoritowych transformanty prą łokieć po łokciu ku Varsovii. Przedrą się, pomyślała, gryząc wargi. Dojdą do miasta. A wtedy...

Powietrze stało się nieznośnie cuchnące. Tłumiąc kaszel Zofija wróciła do mieszkania. W telepikturze Justyna Kabotyńska przedstawiała komputerowe symulacje destrukcji, jaką w stolicy wyrządzić mogą maszyny. Niewiele było do oglądania.

– Skąd wypatrywać ratunku? – spytała prezydentka, zwracając się do nowego gościa, austriackiego mnicha w habicie z cycu w gwiazdki. – Kolejne krążowniki nadlatują z dalszych rejonów układu, ale jakeśmy widzieli, na niewiele się zdały...

– Módlmy się – odparł austriak – by przybył *defensor fidei et patriae* i ocalił nas od zguby

– Co waćpanowie na to? – Kabotyńska spojrzała znacząco na pozostałych.

– Trudno zanegować te mądre słowa – pokiwał zamaszycie głową poseł po prawej. – Bez cudu nie podołamy.

– Na szczęście nie musimy liczyć na cud – odparł od razu poseł po lewej. – Nie zapominajmy o pospolitym ruszeniu...

– Gdy pospólstwo się ruszy – przerwał mu oponent – miasto upadnie zanim jeszcze transformanty postawią w nim nogę!

Obiecującej wymianie zdań tamę położyły nowe ujęcia. W zasięg wszedł właśnie Gżegżółka – najnowszy i najnowocześniejszy satelita cywilny – i z uderzającą jakością ukazał poziom destrukcji, jaką stołeczne działa śiały pośród transformantów. Był niski, wręcz symboliczny. Mogło się wydawać, że tym, co spowalnia maszyny jest wyłącznie rozpęd promieni faserowych, odpychający najeźdźców w tył. Na palcach jednej ręki można by policzyć uszkodzone transformanty. I byłaby to ręka, która weszła w bliski kontakt z szablą świetlną. Niejeden raz.

Nawet prezydentka straciła zwykły rezon. Obrazy postępujących powoli, lecz niepowstrzymanie machin skłaniały do myślenia, co w telepikturze zwykle nie idzie w parze z mówieniem.

Ale tym razem było inaczej.

– Był czas – zaczęła dziwnie refleksyjnym głosem Kabotyńska – gdy w podobnych sytuacjach mogliśmy na kogoś liczyć. Dlaczego dziś tak już nie jest?

Goście spojrzeli na prezydentkę skonfundowani. Pytanie zdawało się nadto filozoficzne. Nawet, gdyby jednak chcieli na nie odpowiedzieć, przerwałby im podekscytowany głos reportera, który nieproszony wskoczył na wizyję.

– Proszę waćpaństwa, pilne wieści! Na razie rzecz jest niepotwierdzona, ale relacje napływają cały czas: nad Povistulem pojawił się obiekt latający, którym według wszelkiego

prawdopodobieństwa jest...

Zofija nie słuchała dalej, bo biegła już na balkon. Wstrząśnięta, zaskoczona, nie zdołała tym razem ustrzec się zdradliwego progu. Potknęła się z głośnym stękiem, ale jeszcze dobrze nie upadła, a już się podnosiła. Ignorując ból stłuczonego kolana spojrzała w niebo. Znow targnęło nią zdumienie, ale przykrywszy dłonią usta zdołała powstrzymać się od wciągnięcia w płuca piekającej duchoty. Tego nie bali się sąsiedzi, krzyczący ile sił w płucach:

– To bocian!

– Nie, to kosmolot!

– Nie! To...

– Hetman!!!

Zofija wytrzeszczyła oczy. Tak. Nie było wątpliwości. Ta postać w czapce z piórkiem na hełmie, w lśniącej przyłbicy z dosztukowanymi sumiastymi wąsami, w czerwono-niebieskim kontuszu przewiązanym frędzlastym pasem słuckim, z potężnym szkaplerzem z wizerunkiem Michała Archanioła, z szablą laserową na światłowodowych rapciach i husarskimi skrzydłami u ramion, na ulicach miasta nie zwracałaby na siebie większej uwagi. W powietrzu wszelako mogła oznaczać tylko jedno.

Heros wrócił, a teraz wykręcał beczki, korkociągi, pętle, spirale i świece na niebie nad Varsovią. Rozcinając powietrze, pióra skrzydeł wydawały przenikliwy, przejmujący irracjonalnym strachem dźwięk. Tysiące, dziesiątki twarze spojrzały z ganków i okien w niebo. Drobną, lecz emanującą siłą i energią sylwetka jakby chciała się pokazać, jakby chciała dodać otuchy.

– Wrócił... – szepnęła Zofija.

A Hetman z upodobaniem wywijał akrobacje właśnie nad jej dworkowcem. Z zaskoczeniem przechodzącym w zachwyt patrzyła na tę postać, to drobną jak łebek od szpilki, to znow nieomal nadludzkich rozmiarów. Gdybyż tę siłę, tę zwawość obrócić przeciwko transformantom...

Właśnie. Zofija zmarszczyła brwi. Czemuż Hetman nie uderza na najeźdźców, zamiast tego parając się tym imponującym, lecz jałowym pokazem umiejętności? Tak długo mieszkańcy Varsovi i całej Dalekopolski pozbawieni byli jego protekcji; jeśli myślał, że po niespodziewanym powrocie oczekują właśnie pokazu akrobacyj lotniczych, to grubo się mylił. Ludzie oczekiwali czegoś więcej...

– I czemuż u licha tak się uczeplił mojej dzielnicy? – powiedziała głośno, gdy Hetman po raz wtóry przemknął prawie na wyciągnięcie ręki od ganków dworkowca. Dziecko mieszkające w duszy Zofiji chciało podskakiwać, klaskać i śmiać się w głos, ale jej drugie oblicze – wciąż niepokodzonej ze swą byłością dziennikarki – szukało wyjaśnienia.

I znalazło je, gdy Hetman po raz n-ty przeleciał koło jej ganku. Zofiji wydało się, że z za przyłbicy mrugnęły na nią oczy.

Chce, żeby za nim leciała, pomyślała. Przez mgnienie szok i podniecenie walczyły w jej duszy. A potem odwróciła się, jednym susem przesadziła próg i pobiegła po działota.

Kiedy ruszała z tarasu startowego w powietrze, Hetman wywinął jeszcze jedną ewolucyję i pomknął w kierunku pola bitwy. Serce Zofiji biło niczym dzwon Zygmunta, gdy dawała działotowi ostrogę i włączała kamerę. W co ja się pakuję, myślała, lecąc ku potwornym istotom za furkoczącą odrzutowymi wylotami kontusza figurką Hetmana. Im była bliżej, tym maszyny były większe, i to bardziej, niż wyjaśnić mogła prosta optyka. W powietrzu gęstym od fazerowych wyziewów można by zawiesić siekiere, błyski miotanych przez działa promieni oświetlały krwawe kłęby i zwodniczo kolorowe korpusy machin, skwierczenie i huk rozrywały bębenki uszne. Strach ciągnął Zofiję w tył jak za ogon, ale podniecenie i czyste szaleństwo parło ją przed siebie.

– Zginę ja i pchły moje! – jęczała, gdy promienie prześwistywały zbyt blisko, ale nie przykrócała działotowi cugli. Chciała być tam, dokąd wiódł ją nieustraszony Hetman. Jakby

wiedząc, że raz złapana w system kontrolny dróg już się zeń nie wyrwie, wywiódł ją na manowce, a ona ochoczo za nim podążyła. Chciała być przy tym, gdy zacznie siać pośród transformantów spustoszenie. Chciała zobaczyć wszystko – a potem pisać relacje dla prestiżowych pism, udzielać wywiadów, występować w telepikturze. Zimno spojrzeć w oczy baronowej Pudelkowskiej, gdy ta będzie błagać ją o powrót. I krótko rzucić „nie”.

Hetman zagłębił się w szczególnie gęsty kłęb dymu. Zofija wstrzymała oddech i zagłębiła się za nim. Teraz na nich runie, myślała, gdy otoczył ją nieprzenikniony tuman. Teraz im pokaże!

Dym przerzedził się – a potem przed oczyma Zofiji wyrosło pasmo Robakowego Kaptura. Tu powietrze było czyste; wiejący od wzgórz wiatr przeganiał bitewny kurz nad miasto. Zofija spojrzała pod siebie. Jej oczom ukazały się podnóża wzgórz usiane tragicznym śmieciem. Potem podniosła wzrok i zobaczyła podkówki złotych butów lecącego byle dalej Hetmana.

W pierwszej chwili nieomalże wydała machinalnie działotowi komendę głosową „Prrrr!”, ale zdumienie sparaliżowało ją na chwilę dość długą, by zdołała zebrać myśli. Potem jeszcze bardziej spięta rumaka. Chciała być jak najdalej od pola bitwy, zwłaszcza teraz, gdy miała widomy znak, że Hetman wcale nie chce stawiać najeźdźnikom czoła. Po co zachęcał mię, bym za nim leciała? myślała, patrząc na jego wyciągniętą w locie sylwetkę. Ku czemu zmierza?

Tymczasem smród, hałas i rozbłysk pola bitwy zostały w tyle. Lecieli coraz dalej nad wzgórze. Błądząc wzrokiem po śladach brutalnej ingerencji w ekosystem, Zofija błądziła też myślami po ewentualnościach. Czy on potrzebuje świadka? Czy chce udzielić mi wywiadu na osobności? Czy chce mię uwieść? I najstraszniejsze: czy przywidziało mi się, że na mię mrugnął?

Wyobraziła sobie, co czuć musieli mieszkańcy miasta, widząc na obrazach satelitarnych czmychającego herosa i poczuła wstyd za niego, ale i dłaczegoś za siebie...

Tymczasem minęli wnijsia do sztolni, ziejącą ranę kamieniołomu, jezioro pełne sadzistoczarnej wody, i wlecieli ponad dziewicze wzgórze. Zofija obejrzała się raz i drugi. Wysokie czuby transformantów zniknęły właśnie za pagórkami; już tylko kłęby dymu przesłaniające wysokościowce Varsovii świadczyły, że bitwa nadal się toczy. Ale bez udziału Hetmana.

Znów spojrzała w kierunku łopoczącej wylotami postaci. Lotki husarskich skrzydeł świeciły jasno nawet w palących promieniach słońca. Była to zminiaturyzowana wersja napędu gwiazdowego. Przynajmniej tak mawiali niegdyś eksperci, opierając się na fotografiach i analizach widma, ponieważ rzecz jasna nikt dotąd nie miał okazji *personaliter* zapoznać się z kostiumem nieuchwytnego Hetmana. W jaki sposób temu herosowi udało się zminiaturyzować technologię napędową kosmolotów do rozmiarów pozwalających użyć jej w napędzie osobistym, wiedział tylko on sam. No i jego współpracownicy. A przede wszystkim księgowy.

Lecąc tak w nieznaną za nieznanym Zofija próbowała przypomnieć sobie wszystkie fakty dotyczące Hetmana. Było ich wiele, ale zanim przestała być dzieckiem, Hetman największe wyczyny miał już za sobą. Za jej pamięci ten tajemniczy heros, pojawiający się wcześniej zawsze tam, gdzie wątlým ludzkim koloniom na planecie groziło niebezpieczeństwo, interweniował tylko raz czy dwa, i to niezbyt skutecznie. Ostatni raz widziano go gdy próbował salwować młodą kobietę, która rzuciła się lub spadła – brak było pewności – do wodospadu w paśmie Koloidowego Wierchu. Żadne z nich nie wynurzyło się już z omglonych odmętów. Dla jej pokolenia był reliktem przeszłości, którym emocjonowały się generacje będące już na wylocie. Wiedziała, że musiał być człowiekiem bogatym – to pewna. Musiał być altruistą – lub zdrowo stukniętym pomyleńcem. Tak czy owak, oddał kolonistom wielkie usługi. A potem zniknął bez śladu, choć katastrofy, te naturalne i te

spowodowane przez człowieka, wciąż od czasu do czasu zbierały żniwo. I nikt nie wiedział, co się z nim stało.

A teraz wrócił, w momencie nieoczekiwanego i niewyobrażalnego niebezpieczeństwa. Zofija nie miała wątpliwości, że nikt nie miał wątpliwości, że Hetman wrócił zalać machinom sadła za pancerze. Tymczasem jednak sam wziął nogi za pas...

Tylko po co w takim razie wlecze mię na ogonie? zachodziła w głowę. Przecie wie, musi wiedzieć, że za nim leczę. Gdyby tego nie chciał, już by się mię pozbył. A zatem po co to wszystko? Gdzież tu sens, gdzie logika?

Wtem Hetman obejrzał się na nią, a potem skrzył pod kątem prostym i przeleciawszy jeszcze kilkanaście sążni zanurkował. Zaskoczona, z bijącym sercem, skrzyła za nim ostrym łukiem. Lecieli jakby prosto w zbocze niskiego wzgórza o piramidalnym kształcie. Hetman nie zwalniał; przeciwnie, zdawał się nawet przyśpieszać. Zofija przez kilka chwil próbowała dotrzymać mu tempa, ale strach przemógł. Zwolniła w chwili, gdy miał już roztrzaskać się o skały. Zamknęła oczy i się w sobie, spodziewając się zderzenia, gdy wtem błysk rozświetlił powietrze, a wizg wprawił w drżenie posady wzgórz. W następnej chwili ujrzała w zboczu idealnie okrągły otwór i zagłębiającą się w dymiącej ciemności wirującą sylwetkę Hetmana.

Leciła dalej i zahamowała dopiero tuż przed otworem. W głąb wzgórza prowadził tunel regularny niczym nawiercony gigantycznym wiertłem. Gdzieś w głębi zdawało się pełgać jakieś światelko.

Lecieć? nie lecieć? zachodziła w głowę Zofija, próbując zwalczyć strach ekscytacją. Kamera na czole działota pikała cieniutko, powiadamiając, że wciąż kręci. Te zdjęcia warte będą miliony czerwonych złotych obrączkowych, pomyślała Zofija, a potem zagryzła wargi i spięła rumaka. Po chwili otoczyła ją ciemność, w której jedynym przewodnikiem było jej dalekie światelko. Potem światło. A wreszcie świetliśko. Zmrużyła oczy, wylatując z ciemnego tunelu w bezkres jasności. Kiedy zewsząd otoczyła ją oślepiająca biel, zatrzymała działota i drząc czekała na Bóg wie co.

Jej oczy nie przyzwyczyły się jeszcze całkiem do warunków oświetleniowych, gdy u jej boku pojawił się ciemny kształt.

– Tędy proszę – wychrypiał seksownie i chwycił ją za łokieć. Poczowała przepływający przez jej ciało prąd elektryczny. A może było to pole magnetyczne? W każdym bądź razie ścisnęła działota łydkami i ruszyła u boku unoszącego się swobodnie Hetmana w blask.

Ten ostatni słabł jakby; pełnotłuste mleko zmieniało się stopniowo w zabielaną wodę, w której majaczyło coraz więcej kształtów. Wkrótce Zofija wiedziała już, że suną przez ni to halę, ni to stadion zagracony nieznanego przeznaczenia i wszelakich gabarytów przedmiotami. Jedyną stałość w tym obcym świecie stanowił zarazem mocny i delikatny ucisk dłoni Hetmana na jej łokciu. Teraz miała już pewność – to nie elektryczność ani magnetyzm, tylko słodycz zaprawiona pikantną nutą sączyła się z kończyny na kończynę.

Żrenice Zofiji nie mogły już bardziej się zwęzić, ale i nie musiały – widziała już *sufficit*, no i światło też już jakby przygasło. Jej oczom ukazały się olbrzymie filary podtrzymujące wysokie sklepienie, a między nimi zwaliska niewiadomych przedmiotów, w których nagle z terrorem i abominacją rozpoznała fragmenty transformantów. Hetman wyczuł targaninę emocyj towarzyszącej i jeszcze bardziej krzepiąco zacisnął palce się na jej ręce. Zwróciła ku niemu twarz, ale w tej chwili puścił ją i podleciał naprzód, na spotkanie olbrzymiej ścianie światła, która na ich oczach podzieliła się na setki prostokątów.

Zofija patrzyła, jak Hetman podpływa do ściany. Próbowała ogarnąć ją wzrokiem, ale prostokąty po bokach rozplływały się w odległości. Poczowała, że kręci się jej w głowie. Czy podobna, że to piramidalne wzgórze kryło komnatę tak olbrzymią? Przypomniała sobie wypalony przez Hetmana tunel – wiódł w dół, pod wzgórze. Poniżej pasma Robakowego Kaptura, między kopalniami planety kryło się...

...centrum dowodzenia wrażej cywilizacji!?!?



Patrzyła, jak Hetman przepływa wzdłuż ściany. Jaśniejące prostokąty migotały, rozbłyskiwały, ciemniały, bez ładu i składu. A potem Hetman uderzył dłonią w bok jednego z prostokątów, ten zaś przeistoczył się w... ekran.

Dalej uderzać nie trzeba było. Raptem oczom Zofiji ukazały się setki, jeśli nie tysiące jaskrawych obrazów, a z niewidocznych głośników ryknął infernalny jazgot. W powodzi obrazów i dźwięków Zofija przez chwilę rozpaczliwie walczyła o rozeznanie, a potem uświadomiła sobie, na co patrzy.

Na bitwę pod Varsovią widzianą oczyma machin.

– *Transformantes ante portas* – mruknął Hetman.

Istotnie: w międzyczasie wróg zdołał podejść bliżej stołecznych bram. Dużo bliżej. Dystans dzielący niektóre maszyny od rogatek dałoby się wyliczyć już chyba w krokach, i to ludzkich. Jeszcze chwila, a transformanty przejdą za linię dział fazerowych, coraz rozpaczliwiej zasypujących je przereklamowanymi promieniami. A wtedy...

Zofija wolała o tym nie myśleć.

Hetmanowi obrót sytuacji też musiał się nie spodobać; uszu Zofiji dobiegły jego przepełnione gniewem pomruki. Poczula niepewność jeszcze głębszą, niż wcześniej. Jeśli on się denerwuje, pomyślała, to co mam rzec ja?

Ale Hetman najwidoczniej nie zamierzał poprzestawać na jałowej werbalizacji swoich uczuć, bo oto odwrócił się ku Zofiji.

– Odsuń się, waćpanno!

Słowa wypowiedziane zduszonym przez emocję albo przyłbicę głosem poparł gestem. Zofija skinęła głową i cofnęła działota, póki heros nie skinął głową. Tam zatrzymała się i patrzyła.

Nie czekała długo. Hetman odsunął się od epatujących przemocą ekranów, dobył szabli świetlnej, a potem jak nie puści się w morderczy tan! Sala, już i tak jasna, jeszcze rozbłysła malowniczymi erupcjami iskier. Buch! ekrany eksplodowały jeden za drugim, a niestrudzony Hetman śmigał tam i sam, gasząc je jak świece. Ściana wizyjna była prawie bezkresna, ale zwijał się jak fryga albo i cyga. Już dziesięć procent prostokątów mroczyło się pustką, już piętnaście, już dwadzieścia pięć, już prawie czterdzieści... Zofija przestała kalkulować około kopy. Ogromna sala wypełniła się cuchnącym dymem z rozbitych ekranów, który zmusił ją do odsunięcia się jeszcze dalej. Zrobiło się ciemniej i straszniej, brakowało jej krzepiącego dotyku Hetmana, ale zaciskając zęby trwała – i nagrywała wszystko.

Już tylko pojedyncze ekrany świeciły w dymiącej czerni ściany. Schowawszy szablę do pochwy, Hetman wybił je kopniakami, a potem odwrócił się do Zofiji. Choć nie miała prawa widzieć niczego pod przyłbicą, zdało jej się, że dostrzega uśmiech...

A wtedy z porażającym hurgotem, paraliżującym rumorem i przerażającym łoskotem sklepienie runęło im na głowy.

\*\*\*

Gończy wiatr tchnął Zofiji w twarz i wyniósł ją z zimnych otchłani bezprzytomności na palące światło dnia. Z trudem uniosła powieki i syknęła, gdy promienie zawieszono w błękicie słońca boleśnie przeszły jej oczy i mózg. Opuściła je na powrót i dłuższą chwilę dochodziła do siebie, próbując zorientować się, gdzie jest i jak się tu znalazła.

Była w ruchu – nie tylko świszczący w uszach wiatr, ale i przeciążenie członków mówiło jej to wyraźnie. Wisiała w przestrzeni – bezwładnie zwieszono ręce i nogi nie natrafiały na żadną powierzchnię. Ktoś ją trzymał – czuła wokół ciała silne ramię...

Wzdrygnęła się, przypomniawszy sobie ogromną salę transformantów i zapadające się sklepienie. Potem była tylko ciemność, którą uświadomiła sobie dopiero teraz, w promieniach słońca. Ponownie, lecz tym razem powoli, uchylila powieki.

Słońce akurat skrywało się za obłokiem. Pierwszy w oczy Zofiji rzucił się pas słucki, pas lity, przy którym świeciły gęste kutasy jak kity. W następnej sekundzie ujrzała czerwono-niebieski kontusz z odrzutowymi wylotami, masywny szkaplerz i charakterystyczną przyłbicę, ale już po samych kutasach wszędzie poznałaby Hetmana.

Heros poznał, że dzierzona przezeń pasażerka odzyskała przytomność. W szczelinach przyłbicy ujrzała wpatrzone w nią oczy, ale zanim rozpoznała ich barwę, nie wspominając o kryjącej się w nich emocji, Hetman skinieniem głowy zwrócił jej uwagę na krajobraz.

A ten był rozległy. Zofija aż się zatchnęła, gdy przekrecona ruchem silnego ramienia twarzą w dół zobaczyła ogrom roztaczającej się pod nią panoramy. Zbliżali się do Varsovii, przepływając nad polem bitwy – czy raczej pobojuwiskiem. Zofija patrzyła ze ściśniętym gardłem na bezwładne korpusy potwornych machin. Kiedy spotkały swą śmierć, czy raczej awarię krytyczną, od rogatek dzielił je ledwie rzut rogatywką. Teraz pośród kolorowego złomu uwijały się mrówkopodobne sylwetki ludzi obdzierających machinowe trupy.

Łzy pocięły z oczu Zofiji i spadły na wesole cmentarzysko niczym ciepły majowy deszczyk. Zwyciężyliśmy, pomyślała. A potem coś ją tknęło. Odwróciła głowę i spojrzała w zamaskowaną twarz Hetmana. Czy to on?...

Nie zdążyła go zapytać, gdy wlecieli nad Varsowię. Hetman zniżył lot i jął wywijać łamańce między wieżowcami, aż Zofiji zaćmiło się w oczach i zaparło dech. Heros pędził tuż nad ulicami i obok okien, jak gdyby chciał się pokazać, jak gdyby chciał zatrzeć wrażenie, które musiał wyrzucić swą mniemaną ucieczką. Nie była pewna, bo w szalonym pędzie wzrok i słuch odmawiały jej posłuszeństwa, ale chyba spotykały go głównie złorzeczenia i potrząsanie szabelkami. Nie wiedzą, że był w centrum dowodzenia transformantów, pomyślała. Myślą, że zjawił się już po wszystkim, gdy maszyny z jakichś powodów same wyzionęły ducha...

Nie dokończyła procesu myślowego, bo Hetman z piskiem lotek zatrzymał się przed gankiem dworkowca przy Mickiewicza 44. Przeciężenie nieomal pozbawiło ją przytomności, ale zdzierzyła. Wokół rozległy się krzyki; to sąsiedzi nie posiadali się z emocyj na widok herosa. Czy były to emocje pozytywne, to inna rzecz.

Hetman postawił ją na ganku. Dopiero teraz poczuła, jak srodze jest sturbowana. Uśmiechnęła się blado, oczekując, że odleci, zarzuciwszy wyloty kontusza, ale on wciąż unosił się na wyciągnięcie ręki od poręczy ganku i patrzył na nią w milczeniu. Kiedy cisza zakłócana tylko krzykami sąsiadów stała się krępująca, sięgnął w zanadrze i wyjął kamerę z działota.

– Nie trza dziękować, waćpanno – wychrypiał zmysłowo zanim zdążyła choćby półotworzyć usta i odleciał z furkotem. Dopiero teraz ujrzała, że jedna ręka zwisa mu bezwładnie. Czyżby złamana?...

Nie zdążyła pozbierać myśli, gdy zagłuszył je niezgodny chór sąsiedzkich krzyków. Zamachała niepewnie ręką i wtulając głowę w ramiona schroniła się w środku. Było nie było była byłą dziennikarką, wiedziała więc dokładnie, co ją teraz czeka.

Ale całe życie sposobila się do takiej właśnie chwili. I zamierzała to wykorzystać.

\*\*\*

– A każcie z takich fotografii psom szyć buty! – mruknęła Zofija, patrząc na wieści w telepikturze. Wszyscy dysponowali tylko zdjęciami z satelity, a i tak mocno przebranymi, bo hetmanat, sparaliżowany skolem Franciszka Bohomolca, nadal odmawiał upublicznienia wszystkich nagrań, zasłaniając się a to tajemnicą, a to dobrem, a to wreszcie przepisami unijnymi. Dziennikarze logoreą nadrabiali braki w relacjach, ale za kulisami wydawcy i producenci programów starali się jak mogli, by uzyskać nowe rewelacyjne materiały.

Materiały, które były w posiadaniu Zofiji.

Przed chwilą wyszła z balii, odświeżona się po szaleńczym locie. Tak jak się spodziewała, w interwiciach czekały już dziesiątki odpowiedzi na rozesłaną wcześniej propozycję sprzedaży nagrań z akcji Hetmana. Teraz siedząc na otomanie w bawełnianym giele jednym okiem patrzyła w ekran telepikture, a drugim przeglądała kolejne oferty. Na razie stosunkowo najlepiej wyglądały kondycje zaoferowane przez Kanał 29, ale to tylko dlatego, że oferta Factumu okazała się rozczarowująco niska. O pozostałych mniejszych graczach nie warto było nawet wspominać.

Miała właśnie iść do kuchni, gdzie w fotonopieczniku odgrzewała podplomyk piastowski z podwójnym oscypkiem, gdy przyszła następna oferta. Zmarszczyła oczy, widząc logotyp Kurjera Kasjopejskiego. Pudelkowska ma czelność?... pomyślała i z drżeniem serca kliknęła.

Zamrugła oczami.

Przełknęła ślinę.

Potarła czoło.

Półtora miliona czerwonych złotych galaktycznych przyćmiewało wszystkie inne oferty razem wzięte.

Muszą naprawdę łaknąć spostonowania Factumu, pomyślała. Wstała, wyjęła z fotonopiecznika podplomyk i stanęła przy oknie. Jedząc nie baczyła, że okruszki spadają na dywan. Patrzyła na późnopołudniową panoramę stolicy i kontemplowała decyzję.

Stolica dochodziła do siebie po traumie, jaką była napaść transformantów. Wprawdzie miasto wyszło z opresyjii obronną ręką, ale zupełna rujnacja, niwecz i perzyna były o krok. Jak tu rychło wrócić po czymś takim do normalnego żywota?

Tymczasem Zofija była o krok od normalnego żywota – bez strachu o dzierzawę, a za to z majątkiem zapewniającym długie i dostatnie życie. Wszelako w zamian za tak olbrzymie honorarium baronowa Pudelkowska żądała podpisania stanowiącej integralną część listu umowy na wyłączność – nie tylko na nagrania, ale i na wywiady oraz wszelki kontakt Zofiji z mediami. Weźmie mię w istny jasyr, myślała. Ust nie będę mogła otworzyć bez jej konsensu. Czy dependencyja akurat od tej baby to moje marzenie? Czy tego właśnie pragnę?

Wszelako ileż będę mogła sobie porobić sprawunków...

Podjąwszy decyzję, niedojedzony podplomyk zostawiła na oknie dla frubli i wróciła na otomanę. W kilka chwil później westchnęła i posłała do baronowej odpowiedź z apendyksem. Tę pierwszą krótką i stawiającą na nogi, ten drugi duży i zwalający z nóg.

W tej chwili wydawca nadawanych właśnie w telepikturze wieści uznał, że wiadomość z ostatniej chwili jest na tyle porażająca, iż obliguje do podwyższenia intensywności sygnału.

– Proszę waćpaństwa, jesteśmy właśnie świadkami ekstraordynaryjnej sytuacji! – wołał prezenter podkręcając węża. – Korpusy transformantów na naszych oczach ulegają destrukcji!

Zofija rozwarła szeroko oczy i patrzyła, jak reporterzy na pobojuwisku uciekają przed osypującymi się wydmami piachu, w które zmieniały się barwne pancerze transformantów. Na oczach kamer w proch obracała się potęga straszliwych machin.

– Mamy połączenie z professorem Konstantym Żakowskim! Waszmość panie profesorze, czy to, na co teraz spoglądamy, oznacza, że maszyny powstały w procesie nanosyntezy?

Na ekranie pojawił się znany już Zofiji sędziwy brodac.

– Jam to nie chwałę się suponował...

Zofija wyłączyła telepikturę i wstała. Pełen wrażeń dzień trza było zakończyć. Miała przed sobą noc pełną zastanawiania się nad przyszłością. Czowała w sercu zadrę – w końcu musiała znów wejść w komitywę z Pudelkowską i jej dworem – ale cóż zadra znaczy dla serca, z którego spadł właśnie ciężki kamień? Miała oto zapewniony dobrostan i nie musiała nawet palcem kiwać, by...

Hola, hola. Przewinęła swoje myśli. „Dobrostan”? Kto ostatnio wypowiedział przy niej

to zabawne słowo?

– Mmmm – mruknęła, przystając na progu alkierza. – Czy to nie...

Nagle wróciły do niej słowa magnatowicza:

„Pozostaje kwestia własnego dobrostanu waćpanny. Powiem tak: jeszcze nie teraz, ale pewnikiem wnet podejmę działania także w tej mierze. Proszę się nie lękać o swą pracę. Proszę mi zaufać, a nie będzie waćpanna żalować.”

Już go nie potrzebuję, pomyślała. Varsovia jest bezpieczna, a ja mam za co żyć. Wszelako zaoferował pomoc, a przynajmniej okazał, że zna, co to dobre maniery.

Powinam mu podziękować i powiedzieć, że już nie potrzebuje się dla mnie fatygować, pomyślała. Chyba nie jest jeszcze za późno na rozmowę? Zerknęła za okno, a przekonawszy się, że na niebie wciąż widać zorzę dopiero co zaszłego słońca, sięgnęła po telefon.

– Tu mówi Zofija Dociekliwska. Byłam niedawno z wizytą u pana – powiedziała słudze z wystudiowaną pewnością siebie. – Czy mogę...

– Pan jest niedysponowan – przerwał sługa.

– Niedysponowan? Jakże to?

– Kontuzycja. Będzie zdrów w ciągu kilku dni.

– Przecie jeszcze...

– Proszę zadzwonić za kilka dni.

Sługa rozłączył się. Zofija jeszcze przez chwilę trzymała słuchawkę przy uchu, a potem odłożyła ją krzywo.

Coś, jakieś przecucie przeniknęło jej jestestwo. Kontuzycja? pomyślała. Jaka kontuzycja?...

Oszalaniające podejrzenie dotknęło granicy pewności i przekroczyło ją. Była to wszakże pewność chwili, którą trzeba było rozniecić, by nie wygasła. Zofija zawróciła i klapnęła z powrotem na otomanę. Po chwili żeglowała już po interwiciach, wyszukując co się dało na temat Hetmana. W zalewie informacji szukała czegokolwiek, co mogłoby potwierdzić jej szalona tezę.

I znalazła ją.

Ścisnęła skronie palcami. Tajemnicza kontuzycja Tadeusza i bezwładna ręka Hetmana. Prośba Tadeusza o dane kontaktowe Zofiji a pojawienie się Hetmana przy jej dworkowcu. Zapowiedź Tadeusza, że zatroszczy się o jej dobrostan *versus* umożliwienie jej przez Hetmana nakręcenia wyjątkowego filmu oraz uratowanie kamery z katastrofy. Nieprzebrane bogactwo Tadeusza *contra* wymagająca nieprzebranego bogactwa technologia wykorzystywana przez Hetmana. A teraz jeszcze to...

Patrzyła na dwie daty – datę ostatniego publicznego pojawienia się Hetmana w ryczących rozbryzgach wodospadu i datę ogłoszenia skonu Kanclerza Wielkiego Koronnego Świętopełka Konicgalaktyckiego, którego okoliczności nigdy nie podano do wiadomości publicznej.

Były tożsame.

Kiełkujące w jej duszy ziarenko podejrzenia zmieniło się w dąb pewności.

Świętopełk Konicgalaktycki był Hetmanem, a teraz, po dłuższym interwale, jego syn, dziedzic olbrzymiej fortuny, Tadeusz, przejął po nim herosową schedę.

Serce jej łomotało, gdy biegła do aerobryki. Prócz sąsiadów drogę zachodzili jej i dziennikarze, ale nawet gdyby nie zakaz kontaktów z mediami, na który zgodziła się w umowie z Kurjerem, nie miałyby czasu na rozmowy. Machając przepraszająco ręką wsiadła do aerobryki i ruszyła z maksymalną dozwoloną prędkością.

Miała nadzieję, że zgubi dziennikarzy.

\*\*\*

- Pan nie przyjmuje gości.
- Jestem Zofija Dociekliwska, byłam tu...
- Pan jest chory, nie przyjmuje nikogo.
- Proszę mu powiedzieć, że w sprawie filmu! To ważne!

Cisza. Gryząc wargi Zofija czekała na powrót odźwiernego. Może po prostu nie chciał już ze mną gadać, myślała, drżąc z antycypacji, ekscytacji i zimna. Wybiegając zdążyła tylko wzuć trzewiki, a teraz nocny chłód z łatwością przenikał cienkie gieźło.

– Pan prosi – rozległy się wreszcie upragnione słowa. Niebawem Zofija stąpała już przez przepyszne sale pałacu ku bibliotece, gdzie oczekiwać ją miał Tadeusz Konicgalaktycki.

Kiedy wstąpiła do wnętrza drzwiami uchylonymi zamiast przez fotokomórkę, to staroświecko przez żywego sługę, ujrzała Tadeusza. Na widok bandaża spowijającego rękę półleżącego na szezlongu młodziana poczuła targnięcie serca. A więc to prawda, pomyślała. A więc Konicgalaktyccy to Hetmani.

– A więc wiesz waćpanno wszystko – powiedział magnatowicz swoim normalnym głosem, w którym Zofija wyczuła jednak teraz seksowne niskie nutki charakterystyczne dla sposobu wysławiania się Hetmana.

- Wiem – szepnęła, choć chciała rzec głośno. Właśnie wszystko potwierdził.
- Skąd?

– Domyśliłam się – rzuciła drżącym głosem. – Interwici też pomogły.

Pokiwał głową, a potem wstał i podszedł do otwartego okna. Stała, czekając sama nie wiedziała na co.

- Wiesz waćpanno, że musi to pozostać między nami?

Chciała odpowiedzieć, że rzecz jest jasna, lecz nieoczekiwanie dla samej siebie zmieniła zdanie.

- Ja powiem tak, ale ktoś inny uzna inaczej – rzuciła pozornie beznamiętnym głosem.

Odwrocił się i spojrzał na nią bacznie.

- Źle na tym waćpanno nie wyszłaś.

– Wiem – zapłonila się. – I dziękuję.

– To ja dziękuję – wyrzucił z siebie. – Dzięki tobie zmieniłem zdanie. Nie chciałem być Hetmanem, choć ojciec mię do tego przygotowywał. Widziałem, co ta praca z nim robi. Nie wracał ranki i wieczory, a ja we łzach go czekałem i trwodze. W ostatnich latach życia zmienił się okrutnie. Nie dość, że postradał kondycję i potencję; na domiar złego wspaniałą technologię, którą wcześniej wykorzystywał dla dobra ludzkości, zaczął wykorzystywać do podrywania pańienek. Zginął właśnie przez jedną taką. Ja ślubowałem tedy, że nie będę Hetmanem i nie dam się zwieść kobietom. Gdy wszakże odziedziczone po ojcu ultraczułe instrumenty powiadomiły mię, co czyha pod wzgórzami... Gdy jeszcze do tego ujrzałem ciebie, wtedy, podczas tamtego nudnego przyjęcia, gdy Kasandrycki wieszczył, na które przyszłaś spóźniona...

Zofija zachnęłaaby się, gdyby nie to, że jej zdumienie narastało zbyt szybko. Przed oczyma stanął jej magnatowicz tamtego wieczora – znudzony, zblazowany młodzian. Czy to możliwe, że już wtedy?...

– Wiedziałem, co się szykuje – podjął, opanowując niemęskie drzenie głosu. – Wiedziałem, że muszę coś zrobić. Wszelako wiedziałem też, że ogólnonarodowa panika jest dla Dalekopolski nie mniej *periculosa*. I że muszę ocalić tajemnicę mej rodziny. Więc nie mówiłem nic, a pilnie się sposobilem. Serce mi krwawiło, gdy musiałem kłamać. Najbardziej, gdy kłamałem...

Urwał i spojrzał Zofiji głęboko w oczy. Czuła, co chce rzec, ale on musiał powiedzieć to głośno. Nie zamierzała mu przeszkadzać. Czy naprawdę on ją...

Tadeusz nie zdążył dokończyć wypowiedzi, a Zofija myśli, gdy stał się dziwny omen.

Oto raróg, wcześniej latający swobodnie po zamku, lecz teraz, pewnie za przyczyną nocnej pory, drzemiący z dziobem spuszczonej na kwintę, zleciał nagle z białego w ścianę drążka i wpadłszy między oboje, jedną nogę postawił na dłoni panny, a drugą ucałował zdrową rękę magnatowicza. Zdumieli się, a on począł kwilić radośnie i przyciągać do siebie ich ręce tak silnie, że musiały się zetknąć. Po oboju przeszło mrowie. Zofija pokraśniała, magnatowicz zbladł. Milczeli ciężką chwilę.

– Czytałaś? – mruknął na koniec tkliwie.

– Streszczenie – przyznała skromnie, spuszczać wzrok.

Znów zamilkli. Jedwabne frędzle oczu eks-dziennikarki podniosły się wreszcie i wzrok jej padł na twarz magnatowicza jakoby jasny, ciepły promień słoneczny. Poczuli, że serce mu taje jako śnieg na wiosnę.

W tej akurat chwili siwy raróg kimnął się znów i byłby rymnął jak długi na ziemię, gdyby Tadeusz nie podniósł go i nie postawił z powrotem na drążku. Kiedy się oddalił, Zofija zdołała się pozbierać. Muszę zachować się godnie, pomyślała. Kiedy odwrócił się z powrotem do niej, miała już gotową przemowę.

– Jestem ubogą szlachcianką – zaczęła – urodzoną, wychowaną i mieszkającą w komunalnym dworkowcu. Nie dorównuję Waszej Miłości ni fortuną, ni urodzeniem, ni...

– Ciii – Tadeusz podszedł w dwóch krokach i położył jej palec na ustach. Oniemiała spojrziała z bliska w jego oczy i nagle zadała sama sobie pytanie, jak wcześniej mogła ich nie poznać za przyłbicą. Teraz czuła, jakby знаła je od lat. – Pozwól, waćpanno, że zaneguję. Naprzód, nie myślę ja tego, aby polska szlachcianka czymś podlejszym od angielskich i francuskich być miała. Po wtóre, nie pierwszozna to Koniecgalaktyckim ze szlachciankami się żenić, jako interwici liczne podają tego przykłady. Po trzecie wreszcie...

Teraz to on nie dokończył, bo odrzuciła jego dłoń, wspięła się na palce i zmiądzzyła mu usta w gorącym pocałunku. Przebudzony cmoknięciem raróg rozkwilił się skrzypliwie, a Tadeusz, wciąż szczepiony pocałunkiem z Zofiją, sięgnął zdrową ręką ku najbliższemu regałowi. Szczeknął ukryty mechanizm i otworzyła się garderoba, z której młodzian wydobyl husarskie skrzydełka. Nałożywszy je niezdarnie, porwał zdrowym ramieniem nienasyconą kochankę i wyfrunął przez okno ku skąpanym w świetle księżyców wzgórzom pasma Robakowego Kaptura.

Mieszkańcy Dalekopolski byli bezpieczni pod skrzydłami Hetmana, a Zofija w jego ramionach.